Cena 1 złoty. W Czechosłowacji 3·50 Kc. Nal. poczt. opł. rycz. Numer zawiera 24 stron.

ŚWIATOWID

Nr. 21 (354) 23 maja 1931 Rok VIII.

W ZIELONE ŚWIĄTKI.



Na ziemiach polskich istnieje prastary zwyczaj wieńczenia domów zielenią w dniu Zielonych Świąt. Moment ten przedstawia nasza fotografja. Widzimy na niej młodą dziewczynę z Bronowic pod Krakowem na tle umajonej chałupy.

Ag. Fot. „Światowida"

PIERWSZY KONGRES EUCHARYSTYCZNY W WILNIE.





J. E. metropolita arcybiskup wileński ks. Romuald Jałbrzykowski podczas nabożeństwa eucharystycznego w dniu 10-go b. m.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA FOT. J. ŁOZIŃSKI, WILNO.

Obok:

Uroczyste otwarcie Kongresu Eucharystycznego z udziałem niezliczonych rzesz wiernych u kaplicy z cudownym obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej.

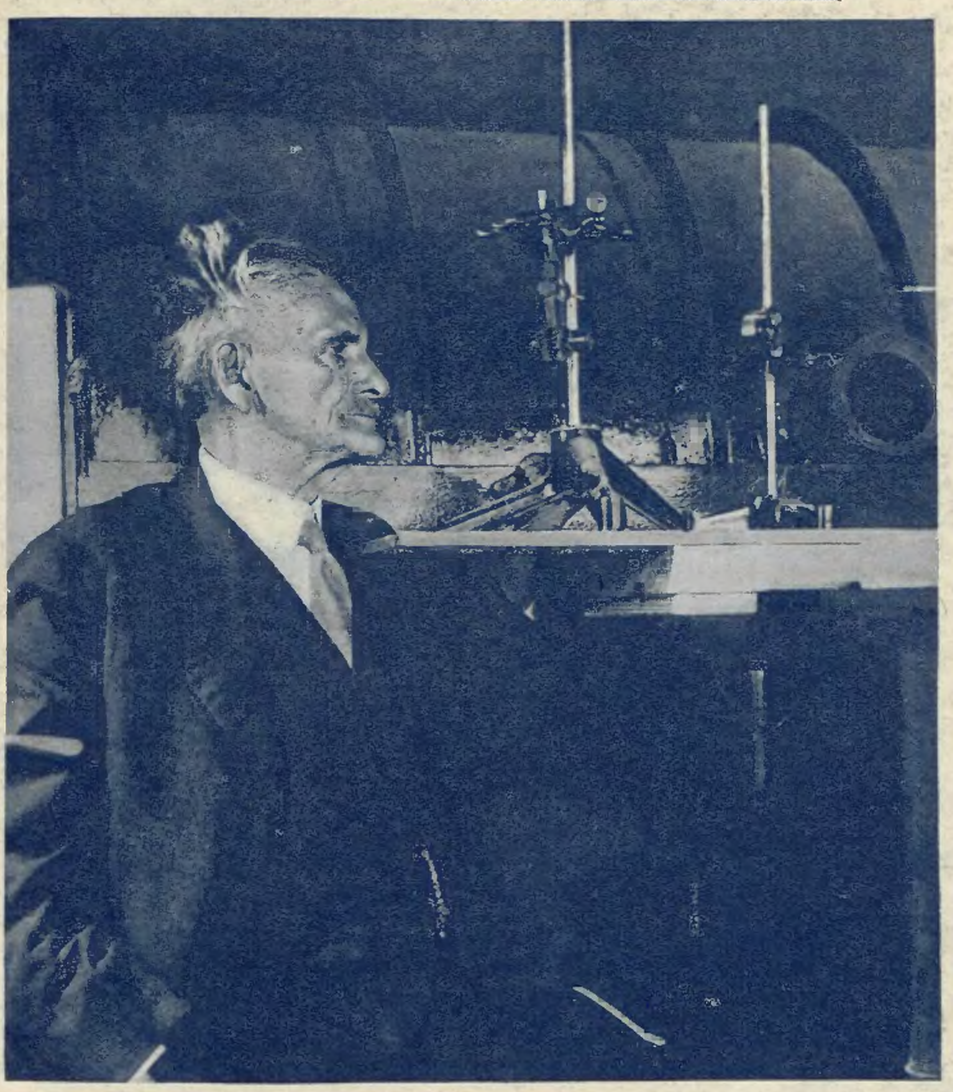
Poniżej:

Przedstawiciele władz z p. wojew. Kirtiklisem (1) i gen. Żeligowskim (2) oraz duchowieństwo podczas uroczystego nabożeństwa na wolnem powietrzu.



Niewątpliwie jesteśmy w obecnych czasach świadkami wzmożonej akcji Kościoła katolickiego. Nie mieszając się do polityki, co więcej, zastrzegając się jaknajbardziej stanowczo przeciwko nadużywaniu religji do celów partyjnych, Kościół katolicki rozwija w obecnej chwili bardzo żywą działalność, zmierzającą do przeniknięcia całego życia publicznego i prywatnego duchem religijnym. Chodzi przedewszystkiem o praktyczne stosowanie zasad wiary, a nietylko teoretyczne wyznawanie zasad wiary i etyki w całokształcie życia. Ponieważ nowoczesnemi prądami zagrożone są najbardziej dwie dziedziny życia społecznego: rodzina i szkoła, Kościół katolicki w tym też kierunku zmierza. Jednym z objawów tej działalności są często odbywające się Kongresy Eucharystyczne, bądź to międzynarodowe, bądź w obrębie jednego narodu i państwa, albo też ograniczające się do jednej tylko diecezji. Ktokolwiek bacznie śledzi za objawami życia aktualnego, nie może tych wydarzeń ignorować, musi w nich widzieć nietylko zewnętrzną manifestację katolicyzmu, ale i istotną, do konkretnych celów zmierzającą działalność. W miarę, jak wzrasta antyreligijna propaganda bolszewicka, nieograniczająca się już dzisiaj tylko do samej Rosji sowieckiej, lecz zataczająca kręgi i w innych krajach, jak n. p. w Niemczech i Austrji, ta działalność Kościoła katolickiego musiała się potęgować i kierowana przez Stolicę Apostolską uwidacznia się i w innych ośrodkach życia nowoczesnego. Doszła ona i do Wilna. Z jednej strony bowiem tutaj, w siedzibie czczonej tak powszechnie Matki Boskiej Ostrobramskiej, żarliwość religijna jest silna i żywotna i wykazać się może ogniowemi próbami za czasów panowania carskiego — z drugiej tutaj, na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej niebezpieczeństwo prądów, wiejących od zbolszewizowanej Rosji jest tem groźniejsze. To też odbyty ostatnio w dniach 7 do 10 maja b. r. pierwszy archidjecezalny Kongres Eucharystyczny w Wilnie zgromadził wśród swoich uczestników nietylko najwyższych przedstawicieli władz państwowych, liczne organizacje społeczne, stojące na gruncie narodowym i katolickim, lecz ponadto i tłumne rzesze ludności wszystkich stanów. Ten udział społeczeństwa był tembardziej wymowny, że Ziemia Wileńska właśnie obecnie została tak boleśnie dotknięta straszliwą klęską powodzi. Wylew Wilji, Wilejki i innych rzek zrujnowały wprawdzie domostwa i drogi komunikacyjne, ale nie zdołały zalać żywego wśród Wilnian ducha religijnego. Nabożeństwa i pochody, odbywające się u wspaniale przybranej kaplicy Ostrobramskiej, zgromadziły niezliczone rzesze wiernych. Uczestnicy tych uroczystości i zebrań religijnych zachowają po nich w duszy swej niezatarte wspomnienie.

MICHELSON NIE ŻYJE!



W tych dniach zmarł w Ameryce najgenjalniejszy współczesny fizyk, profesor Albert Michelson, którego wiekopomne badania przyczyniły się do powstania teorji względności Einsteina. Michelson pochodził z Polski. P. & A. Photo, Berlin.

Głośne laboratorjum fizyczne w Amsterdamie za moich lat asystenckich przechowywało ze czcią należną niewielki przyrząd optyczny — zwany „siatką dyfrakcyjną". Dyrektor zakładu, profesor Zeeman, przed nową serją doświadczeń otwierał ostrożnie wieko żółtego pudła, oglądał srebrzystą powierzchnię lusterka, porysowaną nieprawdopodobnie cienkiemi linjami i mówił z uśmiechem: „Podpisu tu niema! Jest zresztą zbyteczny. To mógł zrobić jeden tylko człowiek — Michelson... Przysłano mi tę siatkę z Ameryki".

Gdyby wielkie czyny naukowe były równie popularne w świecie, jak czyny artystyczne, nazwisko Michelsona wymawialibyśmy obok nazwisk genjalnych i subtelnych majstrów, rozmiłowanych w swoim fachu. Mówilibyśmy — jednym tchem — Flaubert, Turgenjew, Poe, Michelson. Kto wie, może najlepiej maluje wielkiego fizyka amerykańskiego — dziwaczny pozornie, epitet: **Paganini nauk ścisłych.**

Nie było doprawdy takiego karkołomnego „djabelskiego trylu", na któryby się Michelson nie porwał. Już w roku 1877 — miał wtedy lat dwadzieścia pięć — sporządził sobie ze starego sprzętu laboratoryjnego Akademji Morskiej w Annapolis kilka aparatów, ustawił je pod murem w ogrodzie i wykonał jeden z najtrudniejszych pomiarów optycznych: pomiar szybkości światła. Promień świetlany należy — jak wiemy — do najświetlejszych „pożeraczy przestrzeni", mógłby obiec kulę ziemską w ciągu sekundy, osiem razy dookoła. Przyłapać go na gorącym uczynku, określić, jak długo biegnie pod murem od jednego lusterka do drugiego — to zadanie, zdawałoby się, przekracza siły ludzkie. Młody Michelson przezwyciężył wszystkie trudności: jego pomiar był przez długie lata najdokładniejszy, figurował na miejscu honorowem w księgach i tablicach i, kiedy go dziś najdoskonalszemi metodami sprawdzono, okazało się, że w wyniku zaledwie jakąś skromną cyfrę po przecinku poprawić należy. Błąd w groszach tam, gdzie chodzi o setki i tysiące złotych.

I drugi majstersztyk późniejszego profesora w Chicago przeszedł oddawna do wszystkich podręczników szkolnych. W archiwum paryskiem istnieje wzorzec metra, który uznaliśmy powszechnie za jednostkę miary. W życiu zwykłem nie dbamy o milimetry, nie spieramy się o drobiazgi, wystarcza nam świadomość, że gdzieś tam leży właściwa miarka i że zawsze sprawdzić można, czy nas kupiec bławatny zanadto nie oszukał. Ale uczeni, którzy nieraz pracę całego życia zamykają w kilku cyfrach, w kilku pomiarach, krzywem okiem patrzyli na ów jedyny wzorzec paryski. A jeżeli nagle zginie? Jeżeli się gdzieś zapodzieje? Czy nasze tablice będą zrozumiałe dla potomnych? Jak można najściślejszą z nauk ścisłych opierać na... kawałku platyny, przechowywanej w archiwum? Czy nie można owej „zasadniczej jednostki" poszukać w wiecznej naturze?

Pewnego dnia — w roku 1892 — w Biurze Miar w Sevres zjawił się głośny już w świecie naukowym profesor z Chicago. Nastawił genjalnie prosty i genjalnie dokładny przyrząd, który sam obmyślił i zbudował z kilku płyt szklanych, śrub, z półprzeźroczystych zwierciadeł posrebrzanych — **„interferometr".** Postanowił nim zmierzyć, **ile razy fala** czerwonego światła układa się na platynowym metrze. Chciał stwierdzić, ile razy ta naturalna, wieczna, ale niematerjalna i nieprawdopodobnie mała miarka — optyczna — mieści się w dużej, wykutej rękami ludzkiemi z ciężkich metali. I po roku benedyktyńskiej pracy znalazł odpowiedź: 1553163,5! Badacze następni wykazali, że Michelson w swoim pomiarze mógł się omylić zaledwie o... jedną trzymiljonową! Zupełnie jakby ktoś w spisie ludności wielkiego kraju pomylił się o kilka nieletnich osób. Teraz już metry mogą ginąć — jednostką miary przyrodniczą, niezmienną jest fala świetlna, którą dzięki Michelsonowi znany miljonkroć lepiej, niż kupiec bławatny zna własny łokieć.

Szkoda, że nauka nie przemawia do ludzi bezpośrednio tak, jak sztuka. Wyczyny wielkiego fizyka budziłyby napewno większy entuzjazm, niż pasaże Liszta i kadencje Hubermana. Jego brawura koncertowa olśniewała i wprawiała w zdumienie poważnych mężów nauki. Przed laty fizycy holenderscy w długiej mozolnej pracy odkryli wreszcie oddawna poszukiwany wpływ magnesu na światło: atomy drgają trochę inaczej w silnem polu magnetycznem, linje spektralne się poszerzają, może nawet **potrajają,** jak chce teorja. Ledwie ten „efekt" zdołano ustalić, z Ameryki nadchodzi nieprawdopodobna wiadomość: Michelson twierdzi, że zielona linja rtęci rozpada się na **dziewięć linij** w polu magnetycznem! I — oczywiście — znów miał słuszność. Teorję trzeba było zmienić, a raczej uzupełnić.

Astronomowie z Mount Wilson głowią się nad tem, jak dowieść, że pewne słabe punkciki światła, które zmieniają perjodycznie natężenie, są właściwie gwiazdami podwójnemi. Michelson umieszcza w obserwatorjum swój nieodstępny „interferometr" — wymierza odległość obu słońc, które się obracają naokoło drugiego i mierzy średnicę odległej gwiazdy, wprowadza metody fizyczne do astronomji i olśnionym adeptom nauki królewskiej pokazuje, co optyka współczesna potrafi.

Zakrawa to na paradoks: ze wszystkich świetnych eksperymentów wielkiego mistrza najwięcej go wsławił, najbardziej pchnął wiedzę naprzód ten, który mu się nie udał! Jeszcze i dziś w podręcznikach fizyki, w wykładach popularnych, w artykułach mówiym ciągle o „eterze" — jest to coś, co wypełnia wszechświat i przenosi fale świetlne, fale cieplne, radjowe. Teoretycy twierdzili, że w oceanie takiego eteru pyływają wszystkie gwiazdy, planety, komety, wszystkie wogóle cząstki materjalne, jak ryby pływają w morzu.

I Michelson — już przed półwiekiem — postanowił sprawdzić, czy teoretycy mówią prawdę. Toczymy się razem z ziemią przez ocean eteru? Dobrze. Zatem szybkość światła powinna być w jednym kierunku mniejsza, niż w innym, fala świetlna, za którą pędzimy, będzie **powolniejsza** od tej, od której uciekamy. Mistrz z Chicago raz jeszcze nastawił swój interferometr...

Rezultat głośnem echem odbił się we wszystkich laboratorjach świata, wywołał rewolucję w nauce. Ruchu ziemi, wiatru w eterze stwierdzić nie można! Światło biegnie jednakowo we wszystkich kierunkach!

Przez długi czas nawet Michelsonowi wierzyć nie chciano. Powtarzał swoje doświadczenia sam, przerabiał je powtórnie z Morleyem. Ulepszał aparaty, doskonalił metody. „Jest jedna ciemna chmura na pięknem niebie fizyki teoretycznej — mówił lord Kelvin na zjeździe w Paryżu — eksperyment Michelsona"... A może genjalny fizyk raz wreszcie się omylił?

Nie myli się mistrz taki. Jego **nieudany** eksperyment wywołał teorję Einsteina, stworzył nową naukę, roztoczył nowe horyzonty, zmienił nasze poglądy na wszechświat i na atom.

Od Michelsona zaczyna się wielki — najświetniejszy— rozdział w dziejach wiedzy ścisłej.

Śmierć powaliła niestrudzonego badacza w samotnej Irving Ranch, w Kalifornji. Inżynierowie amerykańscy zbudowali mu potężną — kilometrową — „rurę próżniową" i sędziwy fizyk słabnącym wzrokiem patrzył w światło umiłowane. Studjował je przez tyle lat, znał jak nikt na ziemi i wiedział najlepiej, ile tajemnic kryje się jeszcze w jasnym promieniu.

Umarł jeden z największych, najsubtelniejszych artystów w historji nauki.

BRUNO WINAWER.

TANIEC EGZOTYCZNY

U wszystkich ludów, nawet najbardziej pierwotnych, taniec jest sztuką otoczoną specjalną czcią. Możnaby powiedzieć nawet, że u ludów o kulturze prymitywnej, taniec ma większe poważanie, aniżeli u narodów zaawansowanych w kulturze. Ludy pierwotne tańczą przy każdej uroczystej okazji, a formy tańca uświęcone są odwieczną tradycją.

Narody takie, jak Japonja, Chiny, ludy Malajskie rozwinęły niezwykle wysoką sztukę taneczną, która zastępuje w wielu wypadkach przedstawienia teatralne. Taniec ma dla tych ludów całą skomplikowaną symbolikę, nie zwsze zrozumiałą dla Europejczyka, cały swój ceremonjał obserwowany niezwykle ściśle. Tańce wschodnie, a więc tańce ludów Malajskich, czy też tańce indyjskie, podobnie zresztą jak tańce chińskie i japońskie, posiadają jedną wspólną cechę, mianowicie pewną dostojność i powagę, która została wygnana z naszego zbanalizowanego baletu. — Gestykulacja, układ ciała, harmonja ruchów, wszystko to nacechowane jest hieratycznością, która robi wrażenie na najbardziej nawet sceptycznych Europejczykach. Jest to najlepszy dowód, że taniec w pochodzeniu swojem jest czemś świętem i zawsze złączony ze świętymi obrzędami. Wśród narodów egzotycznych sztukę taneczną uprawiają najwyżej postawione osobistości, które występują na własnych dworach. Niedawno w Europie gościliśmy księcia anamickiego, który popisywał się w rozmaitych teatrach europejskich swoją niezwykłą sztuką taneczną. Obecnie sensację Paryża stanowi księżniczka Helba Huara, pochodząca z resztek wytępionego niemal doszczętnie szczepu Inkasów. — Księżniczka Helba Huara popisuje się swojemi tańcami peruwiańskiemi w Paryżu, budząc powszechny zachwyt!



Charakterystyczny wyraz twarzy tancerki peruwiańskiej Helba Huara.



Ks. Helba Huara ze szczepu Inkasów peruwiańskich w tańcu czarownicy Inkasów.

FOT. WIENER PHOTO KURIER — WIEN.



U dołu na prawo: Ks. Helba Huara w tańcu wojennym Inkasów.



W zwartej masie mkną zawodnicy po asfaltowej szosie w okolicach Jastrzębia-Zaroju. Zarząd tego zdrojowiska podejmował bezinteresownie posiłkiem wrzystkich uczestników biegu.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA AGENCJI FOTOGRAFICZNEJ „ŚWIATOWIDA“

BIEG DOOKOŁA ŚLĄSKA.

BIEG KOLARSKI TYGODNIKA „RAZ DWA TRZY“.



Pierwsze miejsce w biegu dookoła Śląska zdobył Wlokas (po lewej) a drugie Koenig (obok).

Redakcja nowego pisma sportowego „Raz Dwa Trzy“ urządziła w niedzielę wspólnie ze Śląskim Związkiem Cyklistów i Motocyklistów pierwszy w tym sezonie większy wyścig kołowy na dystansie 143 klm. W zawodach tych brali udział przeważnie zawodnicy śląscy oraz kilku z Zagłębia Dąbrowskiego i dwóch kolarzy krakowskich.

Zainteresowanie biegiem na Śląsku było ogromne. Dość powiedzieć, że na całej trasie, prowadzącej z Katowic przez Mikołów, Rybnik, Żory do Jastrzębia-Zdroju, a stąd przez Murcki i Tychy do Katowic, przypatrywało się zawodom około 30 tysięcy osób. Punktualnie o godz. 8 20 z Rynku katowickiego nastąpił wymarsz zawodników z orkiestrą na czele, poczem o godz. 8.30 starter p. Nawiaszek dał chorągiewką sygnał do odjazdu. Wspaniałym był widok, gdy gromada jeźdźców w różnobarwnych koszulkach rwała z miejsca w tempie około 30 klm. na godzinę. Zaraz za Mikołowem rozbija się stawka kolarzy na trzy grupy, w czole jadą: asy śląskie, jak: Wlokas, Ligoń, König, a za nimi mały, niepozorny Duda z Wawelu krakowskiego, który poza wspomnianą trójką był jednym z faworytów biegu. Mimo znakomitej wprost szosy, „demon ruchu“ wymaga swych ofiar. Już po obydwu stronach szosy widzimy szereg kolarzy, naprawiających swe rumaki stalowe. Nie obeszło się również bez ofiar. W Brynowie zderzyło się czterech kolarzy, z których jednego, Brańczyka ze strzaskanym obojczykiem przewieziono do szpitala. Ligoń zbyt długo zatrzymał się przy naprawie swej maszyny i wobec tego odpadł na dalsze miejsce. Tempo wzmaga się i to dzięki prowadzeniu Dudy, któremu też udaje się rozciągnąć zbitą gromadę jeźdźców w długiego węża. Energja jeźdźców z powodu upału powoli opada. Na półmetek i stację posiłkową Jastrzębie-Zdrój, gdzie już zawodników oczekiwali przedstawiciele władz śląskich i prasy krakowskiej, wpada pierwszy Wlokas, a tuż za nim König.

Zawodnicy nie tracąc czasu, konsumowali szybko podane im jadło i napoje, poczem natychmiast udali się w dalszą drogę. Sytuacja w powrotnej drodze uległa o tyle zmianie, iż szereg jeźdźców niestowarzyszonych i do tak długiego biegu nieprzygotowanych, poodpadało, a jadące z tyłu auto sanitarne zapełniało się „trupami“.

Bieg od półmetka prowadził niezmordowanie Wlokas, a za nim jak cień König, Reinchard, Różański ze Śląska oraz Bialik i Duda z Wawelu. Ten ostatni prześladowany przez los, przebija trzecią z rzędu gumę, odpadając wskutek tego na dalsze miejsce. Nadspodziewanie dobrze trzymał się Bialik oraz Krakowski z Będzina, zderzywszy się jednak, upadli, tłukąc się boleśnie. I znowu czoło zmniejszyło się o kilku jeźdźców. Na metę wspaniale udekorowaną w Katowicach, wpada pierwszy Wlokas (Żory) w czasie: 4.32.50, drugi König (Król. Huta) 4.37.48, trzeci Dudzik (Żory) 4.42.45, następnie idą: Reiscke (Stadjon) 4.50, Sielańczyk (Sosnowiec), Kreutscher, Gutswald, Papierz,, Paprota, Krakowski, Bialik, Duda.

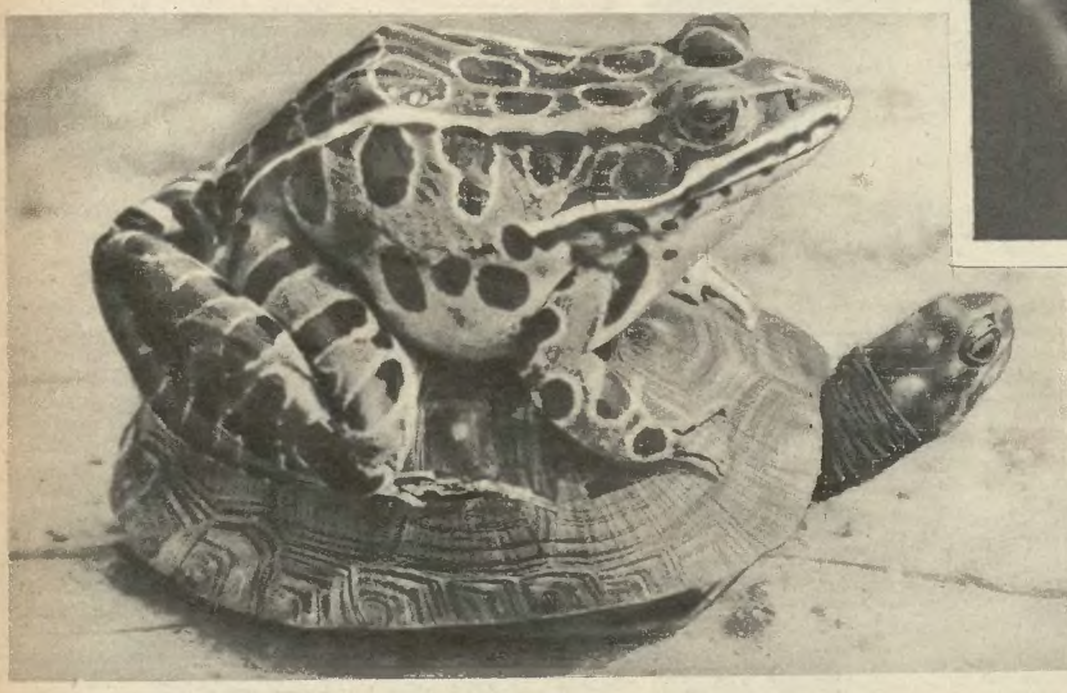
ROZMAITOŚCI.



Najbarwniejsze wojsko. Najwspanialej ze wszystkich wojsk europejskich prezentuje się z pewnością angielska gwardja królewska. Nosi ona bowiem bajecznie kolorowe mundury i z tego powodu jest zawsze niezawodną atrakcją na wszelkich uroczystościach publicznych. Fot. Keystone — Londyn.



Miss Germany. Niemiecką królową piękności na rok 1931 została wybrana w Berlinie baronówna von Freiberg. Wyróżniła się ona już na konkursie przed dwoma laty i wtedy została zaangażowana do „Ufy", przyjmując pseudonim Daisy d'Ora. Fot. Scherl — Berlin.



Obok: **Dobrana para.** Olbrzymia ropucha usiadła sobie na żółwiu i jedzie na nim jak na koniu. Widocznie i żaby mają już dość pieszej lokomocji i wolą kiepsko jechać, niż dobrze skakać. Fot. Scherl — Berlin.



W trosce o zdrowie dzieci. Na wystawie higjenicznej w Dreźnie, którą otwarto przed kilku dniami, duże zainteresowanie budzi druciany kojec, przeznaczony dla niemowląt. Kojec taki, przymocowany na zewnątrz okna, pozwala dziecku korzystać ze słońca i powietrza, którego brak daje się odczuwać w ciasnych robotniczych mieszkaniach. Fot. The New York Times.

TEN, KTÓRY NIE WSZEDŁ DO PAŁACU ELIZEJSKIEGO.

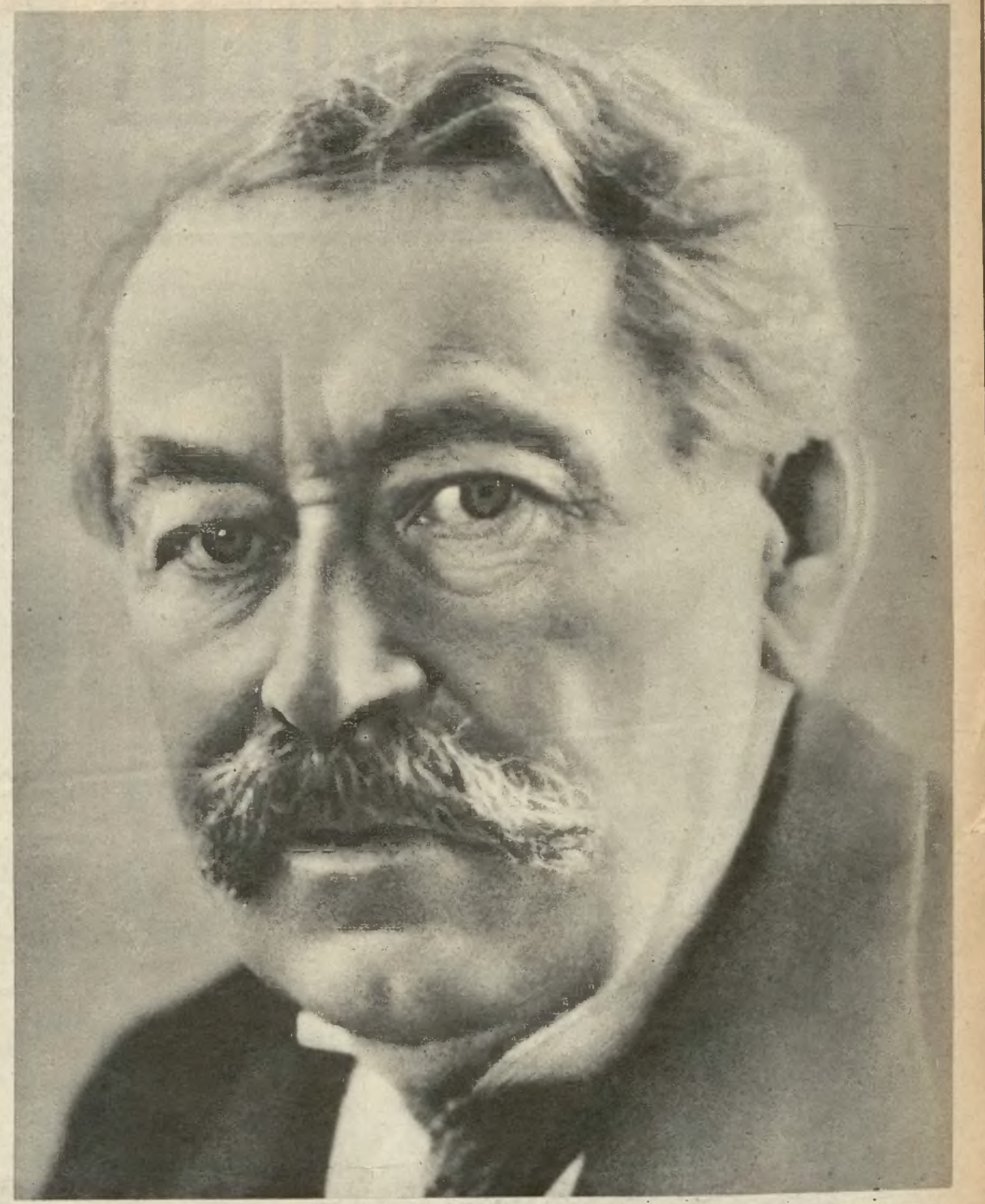
Czyżby zmierzch Brianda?

— „Panu się nie podoba mój pokój!“ — zakrzyknął swym ostrym głosem stary Clemenceau w kuluarach parlamentu do przechodzącego właśnie Arystydesa Brianda.

— Tak jest, najszanowniejszy. Jest ten pokój zbyt podobny do pana, aby mi się mógł podobać. Ma on tak samo jak pan, wyzywająco na tył głowy zsunięty kapelusz i tak samo jak pan, groźnie dokoła wymachuje grubą pałą!... A mnie się to nigdy nie podobało, o czcigodny! — odpowiedział Briand, kłaniając się nisko „ojcu zwycięstwa“ i szybko schodząc mu z drogi.

Wkrótce potem przekonał się stary Cemenceau, że Briand nie żartował. Jego to bowiem ręka twarda i wprawna, jakkolwiek w askamitnych rękawiczkach, wytrąciła mu w ostatniej chwili z pod nóg stopnie, prowadzące na fotel prezydenta Francji.

W roku 1922 na konferencji w Cannes, Briand rozpoczął był po raz pierwszy swoją politykę porozumienia z Rathenauem i Wirthem. Wtedy nagle w ciągu konferencji Poincare i Millerand odwołali go do Paryża, robiąc mu despekt publiczny, jaki francuskiego ministra spraw zagranicznych jeszcze nigdy nie spotkał. Briand posłuszny wezwaniu, najbliższym pociągiem wrócił do Paryża, wprost z dworca pojechał do parlamentu i prosto wpadł na trybunę, wygłaszając jedną z najwspanialszych swych mów, a wygłosił ich wiele w swem długiem życiu. Przedstawił porywająco motywy i cele swej polityki, i w momencie, kiedy widział, że ogromna większość słuchaczy, porwana czarem jego wymowy, gotowa z kolei zdezawuować Milleranda i Poincare'go, a jemu przyznać słuszność, lekceważąco zarzucił ręce na plecy i zakończył oświadczeniem, że podaje się do dymisji, aby „inni mogli to wszystko zrobić lepiej“.



Arystydes Briand, minister spraw zagranicznych uchodził za murowanego kandydata przy wyborach na prezydenta Rzeczypospolitej Francuskiej. Niespodziewanie jednak przepadł. G. L. Manuel Freres, Paris.



Obok:
Briand wznoszący symboliczny toast na cześć niemieckiego ministra dra Wirtha. Toast ten był wyrazem t. zw. polityki porozumienia, która jednak w ostatnich czasach z winy Niemiec zbankrutowała, grzebiąc pod swemi gruzami Brianda.

I wtedy Millerand i Poincare zaczęli szykować okupację Zagłębia Ruhry, a Briand zaczął tworzyć... kartel lewicowy, który w niespełna dwa lata później odniósł walne zwycięstwo przy wyborach i znowu z kolei Millerandowi zrobił despekt, jaki nigdy jeszcze nie spotkał prezydenta Francji, zmuszając go do ustąpienia na długo przed wygaśnięciem jego konstytucyjnej władzy.

Takim jest Briand — mądry, przenikliwy, cierpliwy i twardy. A wszystko razem przykryte dobrodusznością i tym urokiem dezinwollury i bezinteresowności osobistej, któremu nawet zaciekli jego wrogowie opierają się tylko z wielkim wysiłkiem woli.

W ciągu swej karjery politycznej był Briand dwanaście razy prezydentem ministrów, a tylko dwa razy dał się zaskoczyć nieprzyjemną mu uchwałą parlamentu, która go zmuszała do dymisji. Pozostało dziesięć razy ustępował zawsze sam, rzucając Izbie zapowiedź swej dymisji takim gestem, jakgdyby strzepywał popiół z pomiętej poły swojej marynarki. Różnica tylko ta, że popiołu nie strzepuje nigdy, władzę zaś najwyższą w państwie strzepywał już nieraz ze swych rąk dziwnie pięknych, foremnych i mało co mniej w gestach swoich wymownych, niż jego usta.

Briand wstąpił po raz pierwszy do rządu wprost z szeregu lewych socjalistów. Jeszcze nie przebrzmiały echa ostatnich jego nawoływań na zgromadzeniach robotniczych do strajku generalnego, jeszcze w uszach rzeszy robotniczej huczały jego hymny na cześć tej strasznej broni, którą są „założone na piersiach ręce“, kiedy wypadło mu jako ministrowi tłumić... pierwszy wielki strajk kolejowy we Francji. I stłumił go szybko i bez wahania, militaryzuje tych samych kolejarzy, których jeszcze tak niedawno sam przekonywał o skuteczności zakładania rąk na piersi.

Briand z wojny wyszedł jako przekonany pacyfista. Sama wzmianka o karabinach i armatach napełnia go przerażeniem i wstrętem. Kierował rządami Francji podczas walk o Verdun i ofensyw krwawych i nieszczęśliwych w Szampanji. Widział najlepiej, jak wygląda wojna nowoczesna od strony jej straszliwej podszewki, przekonał się, ile razy zagłada wisiała nad Francją na włosku, skosztował wrażeń, jakich dostarczają depesze o buntujących się na froncie własnych dywizjach, i wyszedł z tej łaźni z postanowieniem, że dopóki żyć będzie, nie dopuści Francji po raz drugi do tych okropności.

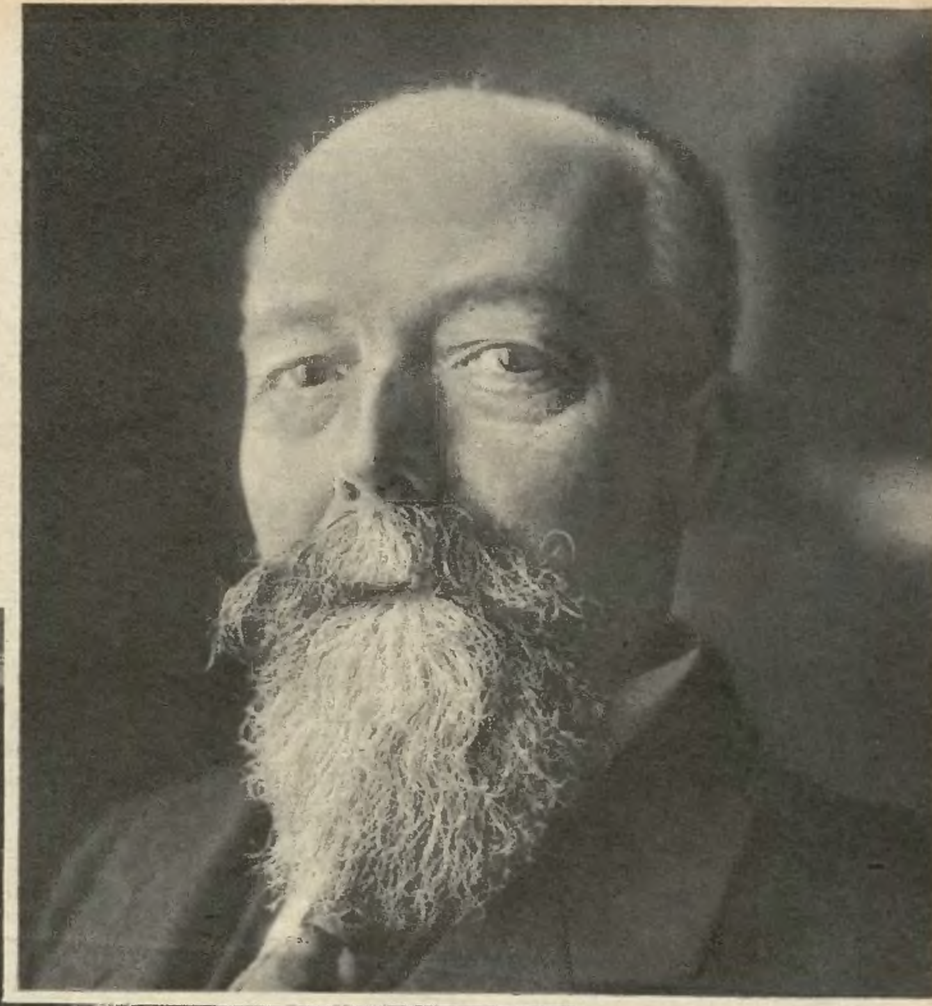
I ta absolutna szczerość pacyfizmu Brianda stanowi ten silny a niezawodny łącznik, jaki istnieje między nim a Francją, jakiego nikomu z jego wrogów nie udało się zerwać, nawet teraz, kiedy z Wersalu wyszedł rozczarowany i zwyciężony.



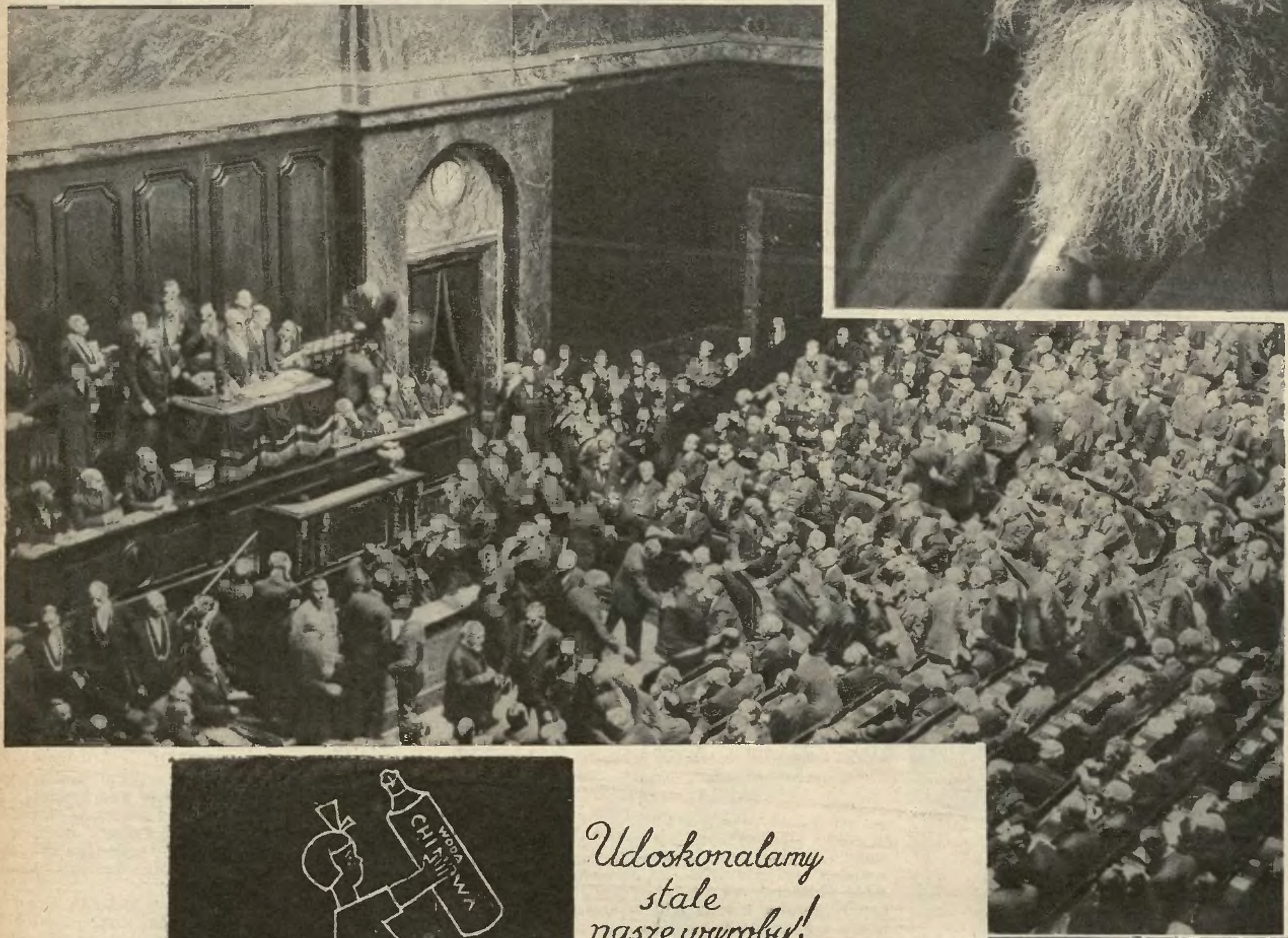
Trenczyńskie Cieplice.
Wnętrze sławnych łazienek „Haman“.

NOWY PREZYDENT REPUBLIKI FRANCUSKIEJ.

Oczywiście niespodzianka... Nie po raz pierwszy wybory na Prezydenta Rzpltej francuskiej przyniosły niespodziewany wynik. W ostatnich zwłaszcza czasach głosowanie Zgromadzenia Narodowego (połączonych Izb Deputowanych i Senatu) okazało się podobne do wielkich wyścigów konnych, w których pierwszy dobiega do mety bardzo często nie popularny faworyt, ale mało znany „outsider". Trzeba bowiem pamiętać o tem, że jak inne wybory tak i wybór Prezydenta Rzeczypospolitej francuskiej w stadjum przedwstępnem obejmuje nietylko jawne układy stronnictw, głośne rozmowy o kandydatach, publicznie wypowiadane prognostyki, ale także i poufne ściśle poufne narady, otoczone taką tajemnicą, że nawet najsprytniejszy reporter nic o nich się nie dowie. Tak było i tym razem. Opinja publiczna miała przed sobą bezpośrednio przed dniem 13. b. m. wynik głosowania w Izbie Deputowanych, która olbrzymią większością uchwaliła votum zaufania gabinetowi Lavala, a właściwie polityce Brianda. Logicznie wnioskując zapowiedziano więc, że i przy głosowaniu na Prezydenta Rzpltej Briand osiągnie większość, zapewnie nie tak wielką jak w parlamencie, ale w każdym razie dostateczną, jeżeli nie w pierwszem, to w drugiem głosowaniu. Tymczasem kontrkandydat Brianda, Doumer, już w pierwszem głosowaniu tylu zgromadził wokoło siebie zwolenników, że Briand przed drugiem głosowaniem kandydaturę swą wycofał. Ostatecznie więc trzynastym z kolei prezydentem trzeciej Rzeczypospolitej francuskiej został p. Paweł Doumer, dotychczasowy prezydent Senatu, kandydat prawego skrzydła lewicy, poparty przez wszystkich dalej jeszcze na prawo się znajdujących, a zwalczany przez lewicę socjalistyczną, no i oczywiście przez komunistów. Zwyciężył człowiek starszy, człowiek mniej zaangażowany w czynnej polityce niż Briand, co zapewne również na wynik głosowania wpłynęło. Czy zaznaczy się to dalszemi jeszcze skutkami, to pokaże dopiero przyszłość. W Wersalu nieraz już przecież dokonywały się rzeczy, decydujące o losach nietylko Francji, ale i całego świata. Wszak w Wersalu ogłoszono swego czasu cesarstwo niemieckie, w Wersalu także jego potęga została ostatecznie złamana.



P. Paweł Doumer, nowy prezydent R. F., ur. 22-go marca 1857 r. w Aurillac, adwokat z zawodu, od r. 1888 deputowany, później kolejno minister finansów, generalny gubernator Indochin, prezydent Izby Deputowanych, senator, minister marynarki i finansów, ojciec czterech synów, którzy wszyscy zginęli na wojnie. R Sennecke, Berlin.



Obok:

P. Paweł Doumer (x) w charakterze prezydenta Senatu otwiera posiedzenie Zgromadzenia Narodowego w Wersalu, na którem dokonał się jego wybór na Prezydenta Rzeczypospolitej. Fot. Scherl.



Poniżej:

Przybywających na decydujące zebranie Zgromadzenia Narodowego witali nastawionemi aparatami liczni fotografowie pism francuskich i zagranicznych. Uniwersum Paris.

WERSAL

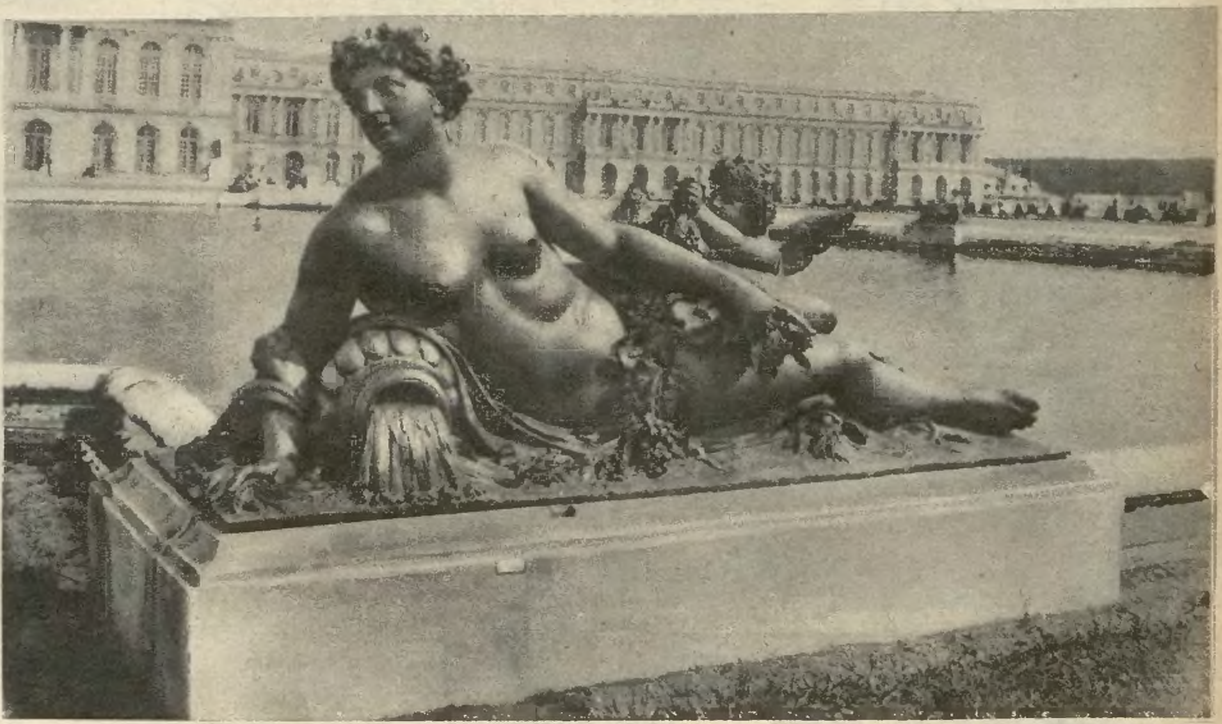


Brama wjazdowa do pałacu w Wersalu, w dniu wyboru Prezydenta Rzeczypospolitej francuskiej. Pilnują jej silne posterunki wojskowe. Wide WorldPh.



Ludwik XIV-ty, zwany „Królem Słońca", który zbudował Wersal. (Wedle współczesnego obrazu).

Poniżej: Ogólny widok jednego ze skrzydeł Wersalu, na pierwszym planie rzeźba nad sadzawką pałacową.



W odległości 17 km od Paryża leży miasto Versailles, liczące dzisiaj około 60.000 mieszkańców, słynne wspaniałą rezydencją królów francuskich.

Rezydencję tę stworzył Ludwik XIV (pierwotnie istniał tu tylko niewielki zameczek myśliwski) i ten widomy znak potęgi króla słońca stał się już podczas jego panowania centrum życia politycznego Francji. Rewolucja francuska przyćmiła wspaniałość Wersalu. Słynny zbiór obrazów został wtedy przeniesiony do Luwru, a bogate urządzenie częściowo zniszczone lub rozproszone. Dopiero Ludwik Filip przywócił około 1833 r. świetność rezydencji, stwarzając z niej jedno z narodowych francuskich muzeów. Wersal budzi wspomnienia nie tylko epoki Ludwika XIV. Tu, w czasie rewolucji, w sali gry w piłkę zebrani przedstawiciele narodu francuskiego stworzyli Zgromadzenie Narodowe, tu została proklamowana w r. 1875 republika, tu w r. 1919 przedstawiciele ententy i państw centralnych prowadzili rokowania pokojowe; tu wreszcie został podpisany pokój. W Wersalu też odbywają się, jak wiadomo, co lat 7 wybory na prezydenta Rzplitej francuskiej.

Pod względem architektonicznym pałac Wersalski stanowi jeden z najpiękniejszych budynków Europy, niezrównany prototyp wielu pałaców i gmachów. Główne jego części zawdzięczają swe powstanie architektom Ludwika XIV de Van i Harduin-Mansardowi. Do Wersalu prowadzi szereg podwórzy. W pierwszem, nazwanem „podwórzem ministrów", witają gościa posągi znakomitych francuskich mężów stanu. Drugi, t. zw. dziedziniec królewski, ujęty jest ramionami pawilonów. Wreszcie następuje ostatnie, najbardziej wewnętrzne podwórze, t. zw. „marmurowe", ozdobione biustami o charakterze antycznym. Przez marmurowe schody wchodzi zwiedzający do wnętrza gmachu. Niepodobna jest jednak wyliczyć sal, tworzących niekończącą się amfiladę, zawierających wybitne dzieła sztuki i nasuwających na pamięć długie szeregi nazwisk i faktów historycznych. Wspomnieć przynajmniej trzeba długi szereg sal, ilustrujących obrazami całą historję Francji, pokoje, nazwane salami Herkulesa, Venus, Diany, Merkurego, Apollina, Marsa, w których znajduje się szereg wybitnych dzieł mistrzów francuskich w. XVIII, apartamenty króla i królowej, pełne nastroju, chroniące sprzęty i dzieła sztuki, wiążące się z dawnemi panami Wersalu, wreszcie kaplicę pałacową, dzieło murów i złotem bronzów. Zabytkiem jednak najpiękniejszym jest słynna galerja zwierciadlana, długa na 72 m a szeroka na 10 m, o rozległym widoku na ogród wersalski, ozdobiona według pomysłu Le Brun'a malowidłami, sławiącemi triumf oręża francuskiego. W tej to sali cesarz pruski w r. 1871 proklamował się cesarzem Niemiec, w niej też w r. 1919 przez dziwne zrządzenie losu podpisali przedstawiciele państwa niemieckiego akt pokoju.

Pałac wersalski nie stanowi jednak całej świetności dawnej rezydencji królewskiej. Niemniej wspaniałym jest ogród i park wersalski, będący najpotężniejszą inwencją ogrodową w Europie, nad którego założeniem pracowało 36.000 ludzi. Spada w dół tarasami tak potężnemi, że może po nich stąpać plemię gigantów. Po bokach zaciszne boskety (gabinety) ze strzyżonych drzew, stanowiące arcydzieła sztuki ogrodniczej, w środku olbrzymia aleja. A wszędzie fontanny, zmieniające ogród w Alhambrę północy. Duch epoki, majestat i potęga inwencji łączą się w ogrodzie wersalskim w niespotykaną nigdzie całość. *R. B.*

23 STOPNI SCHEINERA!



Amator operujący przeciętną kamerą odczuwał niejednokrotnie brak filmów o wyjątkowej czułości umożliwiających zdjęcia w warunkach specjalnych jak zdjęcia nocne ze światłami, zdjęcia przy złej pogodzie, w mieszkaniu przy złem oświetleniu lub sportowe o bardzo krótkiej ekspozycji.

Zwrócić więc należy uwagę na wypuszczone niedawno przez **GEVAERTA** błony **„EXPRESS"**, na których dokonano powyższe trudne zdjęcie — jak widać — z doskonałym wynikiem. (Kopjowano na papierze „Ridax" Gevaerta). Błona ta ma czułość 23° Sch., a więc czterokrotnie większą, niż inne normalne błony (17° Sch.) i pełnić może analogiczne przysługi, co znane już oddawna bardzo czułe płyty Gevaerta Super Chromosa, przyczem jest również wybitnie barwoczuła, a przytem zupełnie bezodblaskowa.

ŁUNA PŁONĄCYCH KLASZTORÓW NAD HISZPANJĄ.

Podając przed dwoma tygodniami obrazki z pierwszych dni Rzeczypospolitej hiszpańskiej, zaznaczyliśmy, że tam dzieje się wszystko według programu wszelakich rewolucyj. Każda z nich zaczyna się powszechnym entuzjazmem, rzucaniem sobie w ramiona, ogłaszaniem raju na ziemi. Niestety, trwa to tylko bardzo krótko. W znanej balladzie Goethego uczeń czarnoksiężnika zamieniwszy miotły na ludzi, znoszących wiadrami wodę, nie może sobie potem dać z nimi rady i woła z rozpaczą: „Duchów, które wywołałem, nie mogę się teraz pozbyć“. Tak jest i z każdą rewolucją. Pierwsza rewolucja rosyjska, kierowana przez ks. Lwowa i Kiereńskiego, wcale nie zamierzała uśmiercić cara i pogrążyć Rosję w barbarzyństwo bolszewizmu. Ale wywoławszy rozmaite „duchy“, nie mogła sobie potem z niemi dać rady i po Kiereńskim przyszedł ...Lenin. Powtarza się to obecnie i w Hiszpanji. Zdawało się, że to będzie taka pokojowa rewolucja, z pokojowym wyjazdem króla zagranicę, pokojową przemianą wszystkich instytucyj monarchistycznych na republikańskie. Tymczasem przyszedł, bo przyjść musiał, bardzo szybko okres drugi, okres wrzenia, zaburzeń, pożogi, a nawet i morderstw. Impet „duchów“ wy-



Mechanik Rada, jeden z przywódców obecnego wrzenia w Hiszpanji, palącego kościoły i mordującego księży.

The New York Times.



Obok: Klasztor Karmelitów w Madrycie padł także ofiarą tłumu, który podburzony przez komunistów podpalił go, nie zważając na to, że w ogniu zginą spokojni i niewinni ludzie.



Poniżej: Pożar podpalonego przez motłoch klasztoru OO. Jezuitów w Madrycie.

ZAKOŃCZENIE WIELKIEGO KONKURSU DLA CZYTELNIKÓW „ŚWIATOWIDA“

W numerze 19 naszego tygodnika umieściliśmy dziesiąty i ostatni projekt plakatów o podniesieniu komsumcji cukru.

Teraz prosimy naszych czytelników, aby się przekonali o wartości propagandowej poszczególnych plakatów i zechcieli przesłać swe opinje z kuponami do Administracji „Światowida“, Kraków, Pałac Prasy, Wielopole 1

do dnia 30-go maja włącznie.

Po tym dniu nastąpi obliczenie i sortowanie nadesłanych nam opinij i prosimy pamiętać:

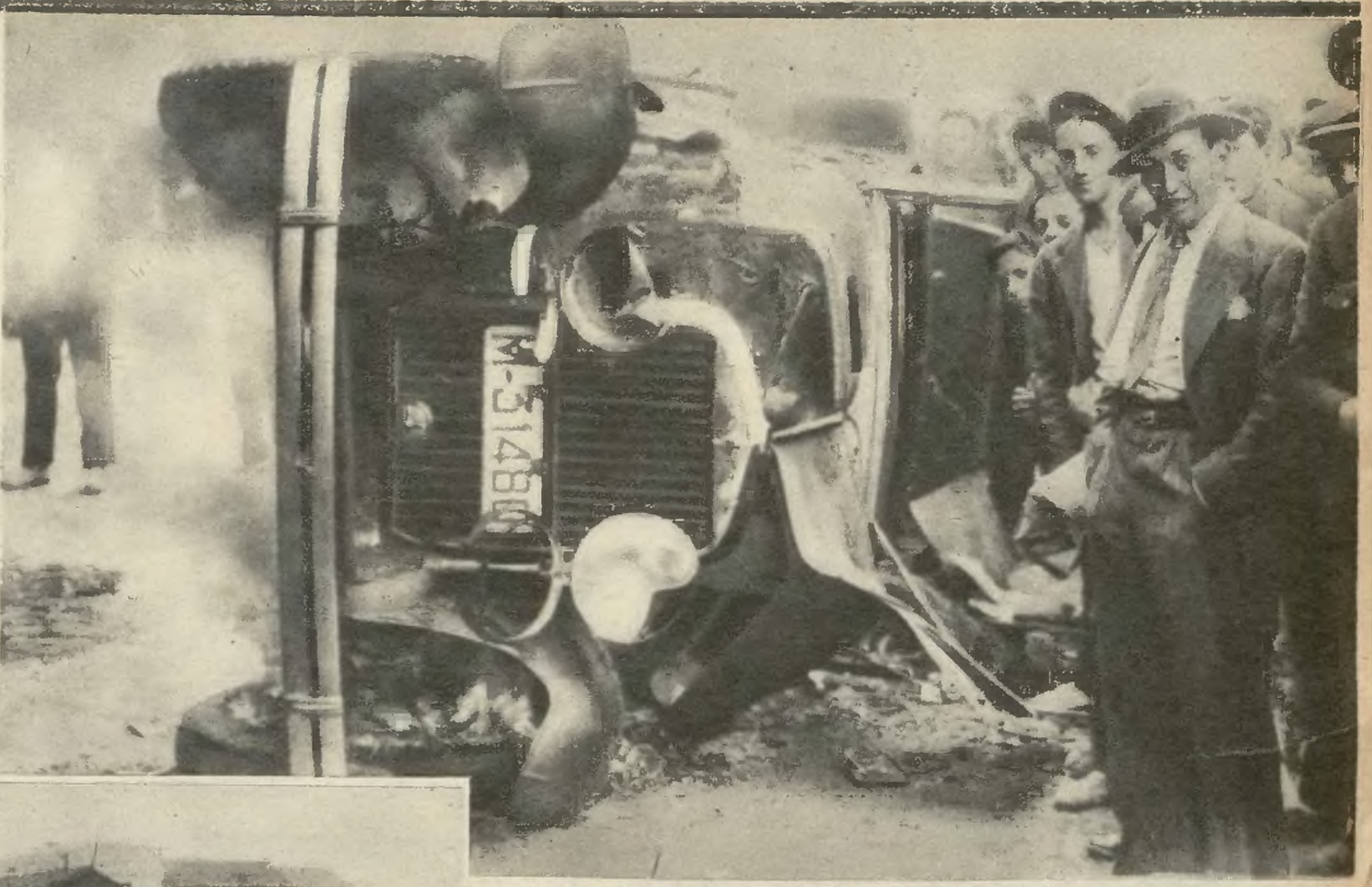
że pożądaną jest rzeczą, lecz niekonieczną, aby każdy plakat był osobno omówiony. Opinje winny być możliwie jasno i swobodnie zredagowane.

Każdy, nadsyłający opinję otrzyma **bezpłatnie** cenny, artystyczny prezent w postaci talji kart; najlepiej umotywowane zaś sądy będą wynagrodzone w drodze losowania kwotą

Zł. 500·—

oraz wartościowemi dziełami.

wołanych przez pierwszą rewolucję, zwraca się przedewszystkiem przeciwko Kościołowi. Już to samo wskazuje, że czynni są tam komuniści, którzy zresztą wcale się tego nie zapierają, — owszem, wszem wobec i każdemu z osobna ogłosili, że wysłali z Moskwy do Hiszpanji swoich agitatorów. Oni to teraz podburzają motłoch uliczny, rzucają się na kościoły i klasztory, na księży i zakonników. Uderzającą w tem wszystkiem rzeczą jest, że na czele obecnego rządu hiszpańskiego stoją potomkowie starych domów żydowskich. W XIV. i XV. wieku Hiszpanja była terenem prześladowań żydów. Wielu z nich, by ratować swoje mienie i życie, pozornie przeszło na katolicyzm, w tajemnicy jednak dalej pozostało przy wierze przodków. Opinja publiczna o tem wiedziała i wzgardliwie nazywała takich „chrześcijańskich żydów" marranami. Otóż z takich starych rodzin marranów pochodzi i Zamora i Maura i de Los Rios, t. zn. triumwirat, w obecnej Hiszpanji sprawujący rząd. Występuje on wprawdzie oficjalnie przeciwko komunistom, ale czy zupełnie szczerze? Czy i w tem niema analogji do Rosji bolszewickiej, w której żydzi tak ważną, zwłaszcza z początku, odegrali rolę? W każdym razie zapewne nie po raz ostatni dla zilustrowania ważnych wydarzeń aktualnej chwili musimy podawać w naszem piśmie obrazki hiszpańskie. Trzeba być przygotowanym na niejedną jeszcze niespodziankę...



Motłoch madrycki, podejrzewając w pasażerach przejeżdżającego samochodu monarchistów, rzucił się na nich, wywlókł ich na bruk i zamordował, wóz zaś podpalił. Keystone – London.



Nawet szkoły, utrzymywane przez zakonnice, są w Madrycie palone i rozgrabiane, zupełnie jak w Rosji bolszewickiej. P. & A. – Berlin.



Pożar klasztoru De Las Maravillas w Madrycie.

W Zielone Święta na Bielany!







Statek „Światowid“ udający się w Zielone Świątki w podróż na Bielany.

Obok: Marcin Wolski, fundator klasztoru na Bielanach pod Krakowem, wedle współczesnego portretu.

Poniżej: Klasztor OO. Kamedułów na Bielanach pod Krakowem. — Wejście główne do Eremu.



Kościół i klasztor OO. Kamedułów na Bielanach pod Warszawą.

Obok: Odjazd statków, przepełnionych publicznością z przystani warszawskiej do Bielan.

Obok wielu rzeczy i spraw, łączących Kraków z Warszawą oraz równie znacznej liczby odwiecznie nas dzielących, mają obie stolice Rzpltej, stara i nowa, jedną stałą wspólność — to Bielany, oraz doroczny na nich odpust w czasie Świąt Zielonych.

Założony w Krakowie w 1604 r. na najwyższym garbie wzgórz wapiennych (368 m n. p. m.), dawniej zwanym Bielszą, klasztor włoskich mnichów, sprowadzonych tutaj przez marszałka W. K. Mikołaja Wolskiego, z Camaldoni pod Arezzo i stąd OO. Kamedułami zwanych, ustalił w Krakowie swą nazwę Bielan, przenosząc ją następnie do Warszawy, gdzie Władysław IV. w r. 1638 tak samo nad Wisłą, o milę od miasta, siedzibę OO. Kamedułom wyznaczył.

Przyjęło się już od wieków, iż rzadko nawiedzamy tę zbiorową pustelnię ascetów, mówiących sobie ciągle: „Memento mori“ (pamiętaj o śmierci) i gdy składamy im wizytę w czasie Świąt Zielonych, robimy to z odpustowym hałasem i na wesoło, jakby właśnie w ten radosny sposób uprzytomniając sobie, że kiedyś pomrzemy i wogóle nie warto się martwić.

Odpust na Bielanach, to masowa majówka Krakowa i Warszawy, gdzie zbożne intencje udziału w nabożeństwie łączą się z zabawą na wolnem powietrzu, bo w obu miastach klasztor otaczają lasy, które w czasie Zielonych Świąt przeradzają się w wesoły „Luna Park“ z całym aparatem rozrywek i wszelkich atrakcyj, z ogotowiem Ratunkowem, a także i aresztem policyjnym, urządzonym w namiocie, włącznie...

Na Bielanach musi być wesoło, bo nie poto tam idziemy, jak n. p. ongiś chadzał król Jan Kazimierz na warszawskie. On zaspakajał tam na rekolekcjach potrzeby swej jezuickiej duszy, aby kajać się po jakiejś awanturce, n. p. z panią Radziejowską i martwić nad awanturą państwową, jaka wskutek tego romansu powstała. My, chociaż ośmielam się mniemać, nie jesteśmy bez grzechu, nie mamy jednak takich przyczyn do pokuty, dlatego idziemy na Bielany radośnie, aby użyć tam przechadzki, huśtawki, przysmaków w kramach, potem karuzeli i zaznać w miarę możności „natury“, tak rozkosznej w tym okresie roku.

Na Bielany jedzie się różnie, wodą i lądem. Większość wraca pieszo także różnie... Ale to należy już do repertuaru odpustowego.

W Krakowie droga na Bielany prowadzi przez piękny las Wolski. Warszawianie udają się tam Wisłą statkami, gdyż droga kołowa na Marymont w czasie Zielonych Świątek jest tak szczelnie zapchana wszelkiego rodzaju pojazdami, że dla piechura niema miejsca, ani powietrza do oddechu. Warszawskie Bielany znajdują się w najpiękniejszym punkcie bliskich okolic Warszawy, a lasek ich, w którym dęby łączą się z olszyną, tworzy pewnego rodzaju osobliwość przyrodniczą, zwłaszcza jego najdziwniejsza partja, t. j. mały lasek akacjowy, pełen odurzającego zapachu zwykle w okresie Zielonych Świąt. Oba kościoły OO. Kamedułów tak w Krakowie, jak i Warszawie są stylowe, zbudowane w czystym baroku włoskim, zwłaszcza warszawski, posiadający oprócz wielu cennych zabytków artystycznych, także w słupie koło drugiego ołtarza, serca królą Michała Korybuta i jego matki.

Ze wzgórza bielańskiego w Krakowie, jak mówi legenda, patrzał na stolicę Władysław Łokietek po zbrojnym powrocie do ojczyzny po koronę. Niestety niewiele imion sławnych z historji związało się z Bielanami krakowskiemi, gdyż w momencie powstania klasztoru, stolicą była już Warszawa i osobistości dworskie udawały się na Bielany tamtejsze. Niemniej jednak dla Krakowian są one drogie, bo łączą się u wszystkich we wspomnieniach najwcześniejszej młodości, gdy z rodzicami wycieczką przez Wisłę, lub też potem majówką szkolną, albo i później jako wesoły gość odpustowy, każdy Krakowianin był w czasie Zielonych Świątek na nich nieraz.

Odpust bielański, jeżeli pogoda pozwoli, zgromadzi tak w Krakowie, jak i Warszawie tysiące ludzi, a „przedsiębiorcy“ różnych rozrywek oraz improwizowanych zakładów gastronomicznych, starają się wypełnić gościom szczelnie cały czas między nabożeństwem a przechadzką, lub spoczynkiem leśnym. Dawniej odpust bielański „urozmaicały“ różne awantury, stąd też przyjął się zwyczaj urządzania tam ambulatorjum Pogotowia, a nawet aresztu w namiocie, w którym jednak przeważnie dawano gościnę uczestnikom zabawy nazbyt upojonym... powietrzem, zmieszanem z silnym alkoholem.

Dawniej goście odpustowi dopuszczani byli na Bielanach krakowskich do tajemnic życia OO. Kamedułów, pokazywano im surowe nieurządzone cele, w których OO. Kameduli oddają się medytacjom nad marnością rzeczy ziemskich. Pustelnicy ci nadto w wolnych chwilach od praktyk religijnych, pielęgnują i uprawiają wspaniały ich stary ogród, z którego owoce chwalili sobie nieraz poczęstowani niemi goście.

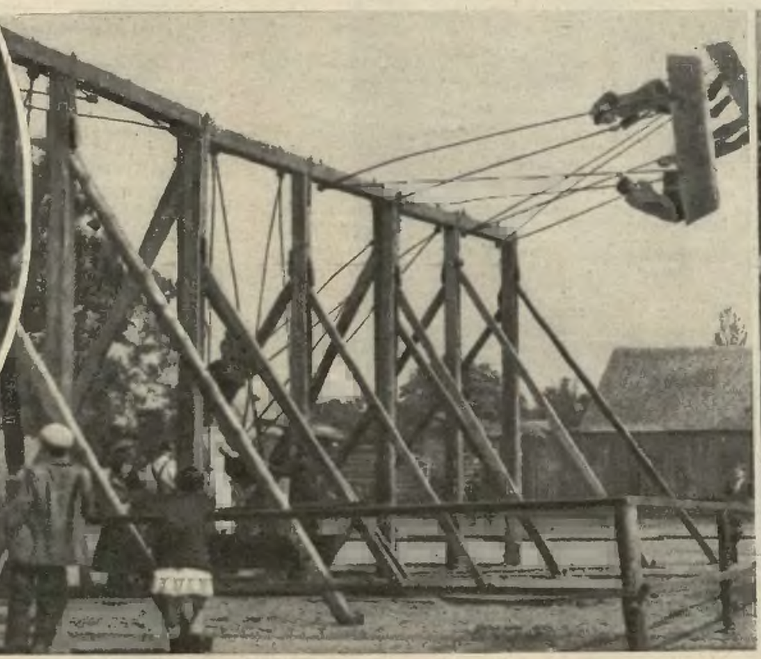
Idzie tylko o to, aby pogoda dopisała. Co mamy na Bielanach robić, wszyscy dobrze wiemy, program od dwu wieków ten sam, jednako zabawny i pokrzepiający dla całej konstytucji ducha i ciała mieszczucha, który na Zielone Świątki pierwszy raz w roku wchodzi w bliższy kontakt z przyrodą i lasem.

S. Now.





Na Bielanach nie tańczy się tanga, tylko tradycyjną polkę.



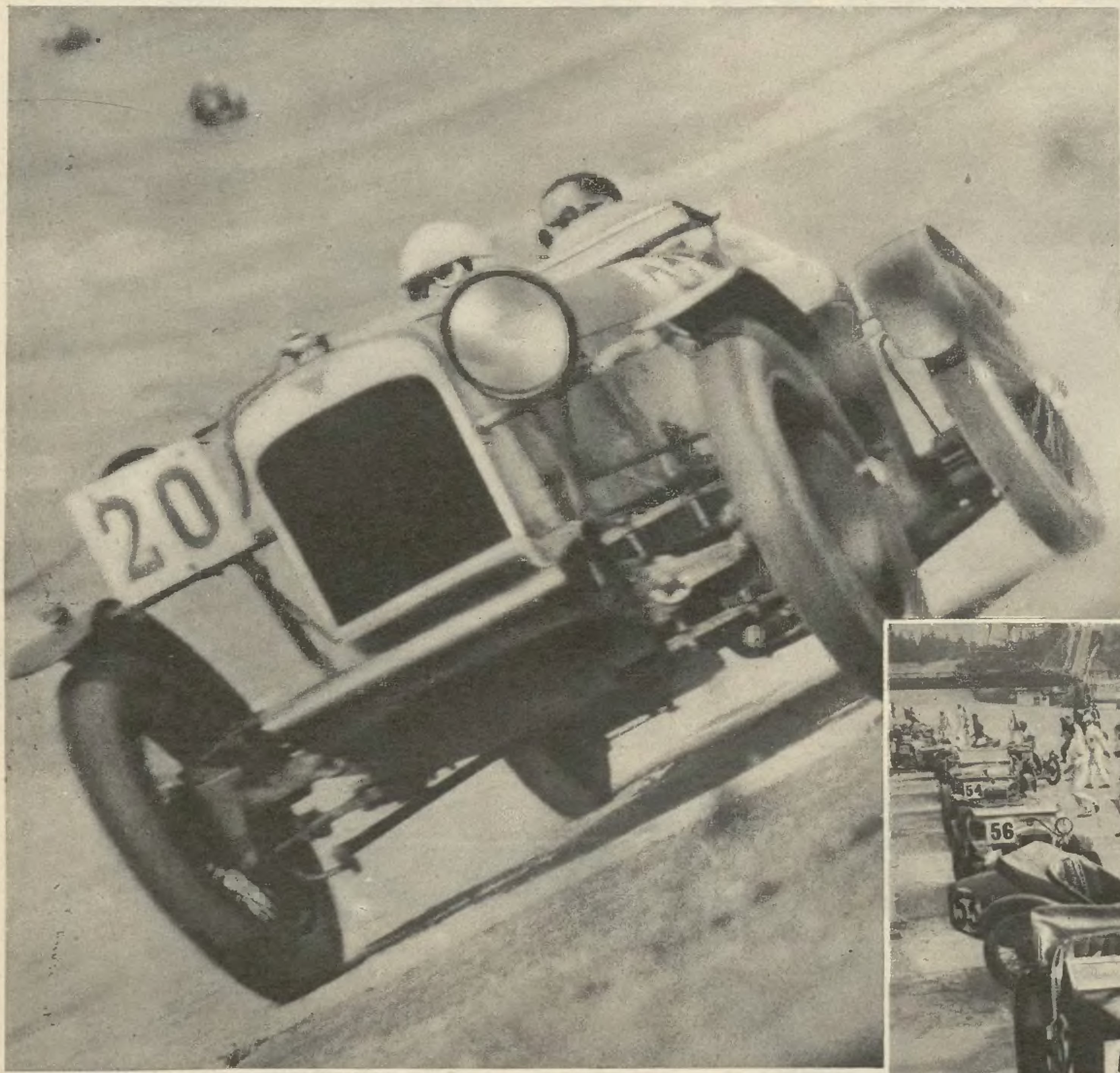
Wielkiem powodzeniem na Bielanach cieszą się huśtawki.



Sprzedaż łakoci odpustowych na Bielanach.

Photo-Plat — Warszawa i Ag. Fot. „Swiatowida“, Kraków.

24-GODZINNY WYŚCIG W BROOKLANDS





Wóz marki „Alvis" z kierowcą Farley'em bierze wiraż na torze w Brooklands. R. SENNECKE, BERLIN.

Obok: Na dany przez startera znak, kierowcy biegną do swoich wozów.

Jednym z najbardziej popularnych wyścigów w Anglji jest wyścig 24-godzinny na słynnym torze w Brooklands, który odbył się po raz pierwszy trzy lata temu. Wyścig ten jest wyścigiem, mającym na celu wykazać przedewszystkiem wytrzymałość wozu, krążącego po olbrzymiej orbicie toru przez całą dobę. Utrzymanie stałej szybkości jest zadaniem kierowcy, który niema bynajmniej zamiaru zanadto „gazować", albo rozwijać fantastycznych chyżości.

W roku bieżącym wyścig zapowiadał się niezwykle ciekawie, gdyż do konkurencji stanęły teamy następujących fabryk samochodowych: M. G. Midget, Lea Francis, Talbot, Austin, Maserati, Riley, Aston-Martin i Alvis. Angielskiemu przemysłowi samochodowemu zależało niezmiernie na tem, ażeby w Double-Twelve (2x12 — taki jest tytuł wyścigu w Brooklands) wykazać wytrzymałość samochodów angielskich. Najsilniejszym był team M. G. Midgetów, małych wozów, które okazały się niesłychanie silnemi i zwrotnemi. Pomimo wysiłków olbrzymich wozów, jak Maserati, Lea-Francis i inne o stukonnych motorach, dziecinne wozy (Baby-Cars) przodowały przez cały czas wyścigów, mając minimalną ilość defektów. I oto na końcu wyścigów pierwsze dwanaście miejsc zajęły wozy angielskie, w tem cztery pierwsze miejsca: Midgety. Po drodze odpadały kolejno wielkie wozy Maserati, m. in. olbrzymi wóz, prowadzony przez znanego kierowcę Ramponi, „gubiły" się Talboty i wielka część Austinów.

Pierwszy do mety przybywa Earl of March ze swoim towarzyszem C. S. Stanilandem, wykazując przeciętną szybkość 104.70 km. na godzinę. Jest to szybkość imponująca dla wozów tak małych i produkcja angielska może być słusznie dumna ze swoich fabrykatów. Na drugiem miejscu usadowiły się Talboty i Austiny. W ten sposób konkurencja włoska została odsunięta na daleki plan. Tor w Brooklands przeżył znowu jeszcze jeden ze swoich „wielkich dni". Żałować tylko wypada, że w wyścigu ostatnim nie brali udziału — jak to zapowiadano z początku — tacy znakomici kierowcy, jak: mjr. Campbell, Kaye Don i niemiecki kierowca Caracciola. — Udział tych kierowców podniósłby znacznie sensacyjność tych wyścigów.

WYSTAWA ZBIOROWA CZERWENKI
W KATOWICACH.



„Zamek w Czorsztynie".



Erwin Czerwenka — artysta malarz, zamieszkały stale w Krakowie.

Poniżej: „Duet".



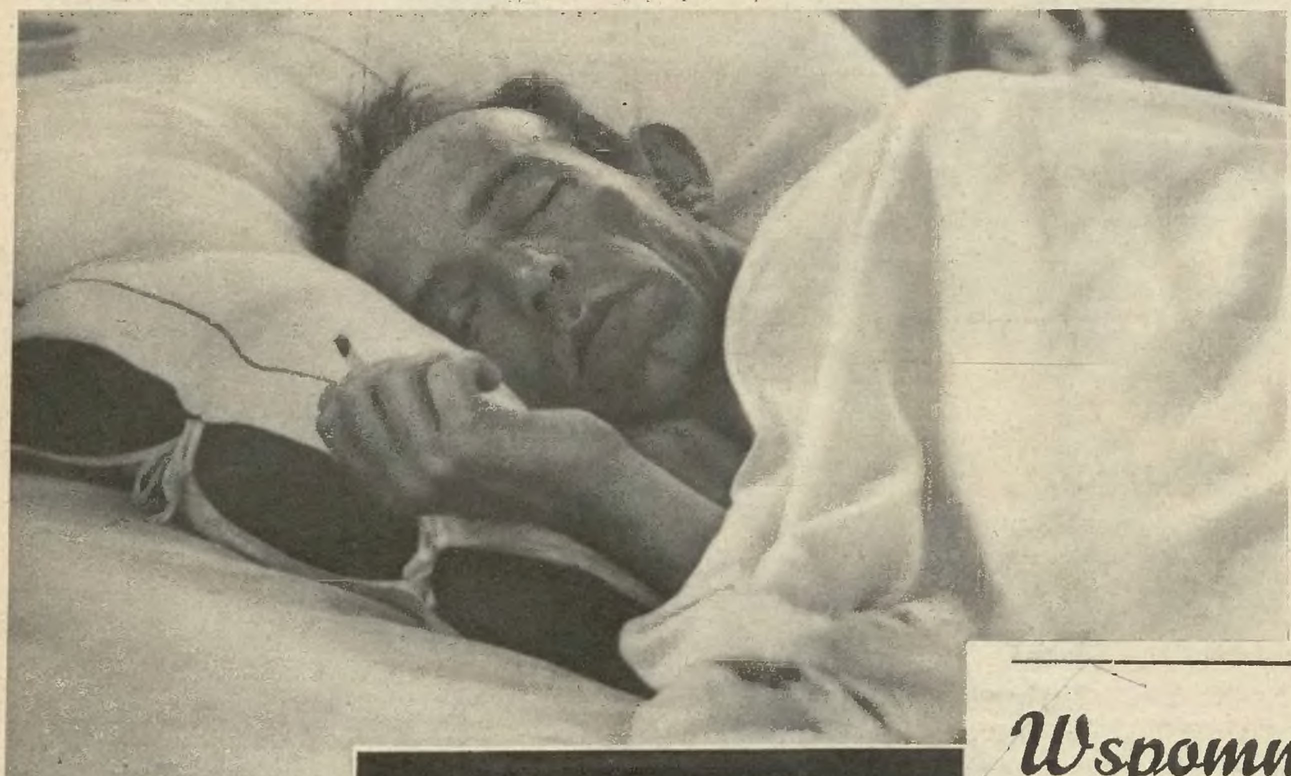
Na lewo: „Moja córka".



DNIA 22 b. m. nastąpiło w Katowicach na Targach otwarcie zbiorowej wystawy obrazów Erwina Czerwenki. Artysta ten jest wychowankiem krakowskiej Akademji Sztuk Pięknych, a uczniem prof. Wyczółkowskiego, Stanisławskiego i Weissa. Jako zdecydowany impresjonista pogłębił swe studja malarskie zagranicą, ulegając szczególnie urokowi wielkiej sztuki Segantiniego i Renoira. Wystawiając od r. 1909, artysta ten ze szczególnem upodobaniem podejmuje w swych pracach trudne problemy barwy, oświetlenia i powietrza, zarówno w studjach pejzażowych, martwej natury, jak i portretowych. Wyniósłszy z Akademji poszanowanie dla formy i poprawnego rysunku obok poczucia barwy, artysta nasz w pracach swych uzyskał pełny sukces artystyczny i uznanie oficjalnej krytyki. W końcu należy podnieść duży wysiłek artysty w zakresie sztuki dekoracyjnej, w szczególności kompozycji witrażów, które niejeden kościół ozdabiają, według projektów tego artysty wykonanych. To też urządzenie tej wystawy przez krakowskiego artystę w Katowicach należy podnieść z uznaniem.

m. d.

DWAJ LEKARZE KRAKOWSCY W SZPONACH BANDYTÓW.



Tomasz Sławiński, który zorganizował napad na dr. Glatzla i Kellera. Pochodzi z Brześcia n/B. i jest z zawodu kelnerem. Na zdjęciu Sławiński na łożu szpitalnem po aresztowaniu.

Dnia 19 b. m. dwaj wybitni lekarze krakowscy, a mianowicie dr. Keller, docent ginekologji i znakomity chirurg prof. Glatzel, zostali w południe podstępnie zwabieni do pustego mieszkania przy ul. Zygmunta Augusta nr. 5, dokąd wezwano ich rzekomo do chorej, a następnie związano i wymuszono na dr. Glatzlu napisanie listu do jego żony o przyniesienie okupu w kwocie 1000 dolarów. Suma ta została rzeczywiście złożona do rąk bandytów, którzy zamknąwszy drzwi, umknęli, zapowiadając na odchodnem, że klucz od drzwi odniosą na ul. św. Tomasza, gdzie dr. Glatzel mieszka i poproszą jego służącą, aby przyszła ich uwolnić. Ta kurtuazja zgubiła bandytów. Zanim bowiem jeden z nich dostał się na ul. św. Tomasza, uwięzieni lekarze zdołali się uwolnić, wyważyć drzwi i zaalarmować policję, która natychmiast wysłała oddział wywiadowców na ul. św. Tomasza i ujęła bandytę w chwili, gdy zgłosił się z kluczem. Osaczony złoczyńca początkowo usiłował się bronić, następnie jednak skierował rewolwer do swojej piersi i postrzelił się. Obecnie przebywa w szpitalu. Napad ten urządzony w biały dzień na osobistości tak wybitne, zaalarmował cały Kraków i jest do dziś dnia przedmiotem rozmów najszerszych sfer



Obok: W tym pustym pokoju przy piecu, w domu przy ulicy Zygmunta Augusta 5, leżeli związani dr. Glatzl i dr. Keller.



Widok z sieni domu przy ul. Zygmunta Augusta nr. 5 w Krakowie, dokąd zostali zwabieni dr. Glatzl i dr. Keller.

NA EKRANIE CHWILI.



Bohaterzy przestworzy. Na lewo: Słynny lotnik amerykański Frank m. Hawks, który przestrzeń Londyn—Berlin przebył w rekordowym czasie 2·55 g.



Na lewo: Pogrzeb lotn. Waghorna w Londynie, który niedawno zginął śmiercią tragiczną w katastrofie lotniczej. Waghorn był posiadaczem puharu Schneidra.

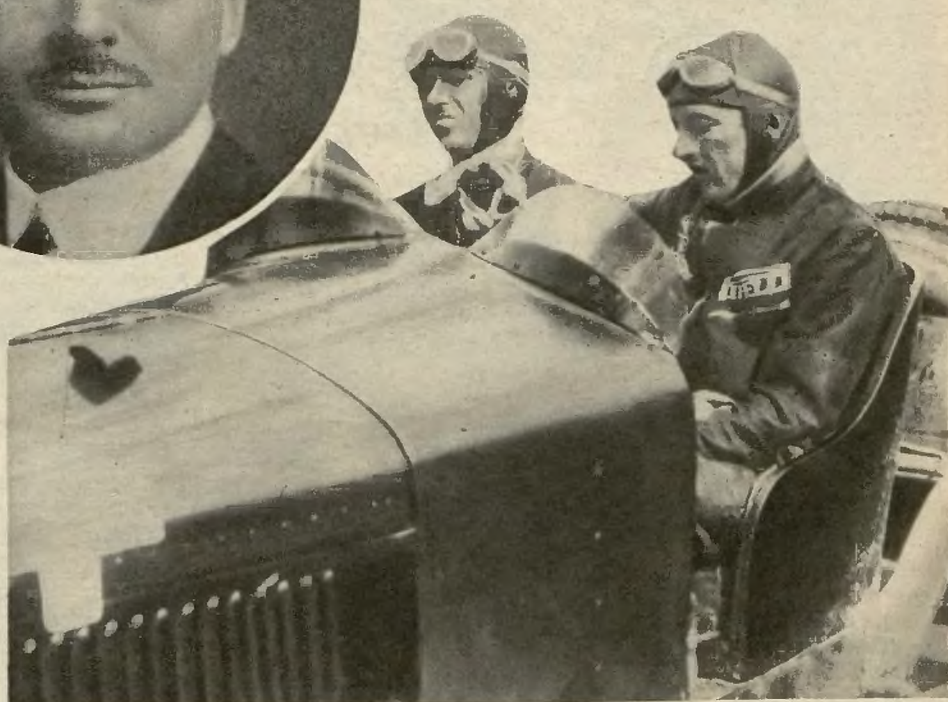




W kole: **Austrjacki „Zakład kredytowy“ przed krachem.** Ogromną sensację w całym świecie wywołała wiadomość o krachu finansowym Banku Creditanstalt w Wiedniu, na czele którego stoi bar. Louis Rothschild. Bank ten popadł w trudności płatnicze z powodu kryzysu gospodarczego. Na zdjęciu bar. Rothschild.

Na lewo: **Śmierć Ysaye'a.** Dnia 12 b. m. zmarł Eugenjusz Ysaye, jeden z najwybitniejszych skrzypków świata. Pochodził on z Belgji.

Na prawo: **Targa-Florio.** W tegorocznych wyścigach automobilowych w Sycylji, zw. Targa-Florio zwyciężył Nuvolari na wozie Alfa-Romeo. Na zdjęciu Nuvolari przed startem.





Liga Narodów znowu radzi. Dnia 11 b. m. zostało uroczyście otwarte 63-cie posiedzenie Ligi Narodów. Na porządku dziennym Ligi znajduje się sprawa rozbrojenia, Paneuropy i unji celnej austro-węgierskiej. Na zdjęciu posiedzenie Komitetu Rozbrojeniowego pod przewodnictwem greckiego ministra Politisa.

OSTATNIA PODRÓŻ ORKANA



Wynoszenie trumny ze zwłokami Orkana z pociągu na dworcu zakopiańskim. W dali potężny masyw Giewontu.

Poniżej: Góralska straż honorowa przy trumnie Orkana na dworcu w Krakowie.



Składanie wieńców na trumnie Orkana w Chabówce.

Poniżej: Udekorowany dworzec w Makowie Podhalańskim. Na pierwszym planie delegacja Straży Ogniowej.





Górale wnoszą trumnę na stary cmentarz w Zakopanem.





Słynny góral Mróz z Poronina, ostani kobziarz Podhala, który przygrywał na weselu Orkana, obecnie grał mu także na pogrzebie stare melodje Sabałowe.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA AG. FOT. „ŚWIATOWIDA".

W tych dniach odbyło się przewiezienie zwłok zmarłego przed rokiem w Krakowie, znakomitego powieściopisarza i poety ś. p. Władysława Orkana, z cmentarza krakowskiego, gdzie został prowizorycznie pochowany, do Zakopanego. Trumna ze zwłokami Orkana odjechała w ub. sobotę pociągiem rannym z Krakowa. Po drodze na wszystkich stacjach gromadzili się ludzie, aby wielkiemu piewcy Podhala oddać ostatnią przysługę. Dopiero jednak od Suchej napływ tłumów i delegacyj na dworce, przez które przejeżdżał pociąg, stał się żywiołowym. I nie dziwnego! Sucha, to niejako przedsionek Podhala, tu bowiem zaczynają się właściwe góry — królestwo Orkana.

Orkan znalazł swój wieczny spoczynek na starym cmentarzu w Zakopanem, uchodzącym za sanktuarjum Podhala. Tu bowiem spoczywają zwłoki Jana Sabały-Krzeptowskiego, jednego z ostatnich zbójników i bajarza, w którym wcieliła się cała legenda tej przepięknej ziemi. Tu złożył steraną głowę odkrywca Zakopanego, niezapomniany Tytus Chałubiński, lekarz z Warszawy. Tutaj pod skromną mogiłą spoczywa Stanisław Witkiewicz, autor „Na przełęczy", który teoretycznie opracował styl zakopiański i stworzył podwaliny pod naszą wiedzę o góralszczyźnie. Godnym jego następcą był Orkan, twórca regjonalnego ruchu podhalańskiego i obok Tetmajera i Nowickiego największy piewca Ziemi podhalańskiej. Specjalnie ukochał Orkan biednych szarych ludzi z Podhala, ich nędze i troski i ich codzienną szarpaninę ze złym losem. Za to, niech Mu ta Ziemia podhalańska będzie lekką!

KĄCIK FILMOWY

(WYWIAD Z TADEUSZEM OLSZĄ)



Godzina 12.00. W kawiarni „Europejskiej" ścisk, jak zwykle. Przy jednym ze stolików spotykam Olszę. Korzystam ze sposobności, by uzupełnić serję wywiadów „Światowida" rozmową z naszym amantem charakterystycznym.

— Kiedy Pan właściwie zaczął swą karjerę filmową?

— O, już dość dawno. W 1917 roku dostałem się w czasie wojny do Berlina. Tam zacząłem kręcić w wytwórniach niemieckich. Ebert-Film, Eiko, Karfiol, wszystkie te wytwórnie, które dziś jednoczy UFA, były terenem mej pracy. Tam zacząłem pierwsze kroki na polu filmowem. Grałem z Lili Floor, Polą Negri, Ewą Epeyer i innemi.

— Z Polą Negri? Co może Pan o niej powiedzieć?

— Niebywała! W stosunku do kolegów ogromnie uczynna i strasznie dobra. Wielka artystka!

— Co Pan potem robił?

— W roku 1920 wróciłem do kraju. Wtedy jednak naogół mało grałem do filmu. Miewałem przeważnie role epizodyczne. Dopiero ostatnio powierzono mi rolę amanta charakterystycznego w filmie „Uwiedziona".

— Jakież Pan odniósł wrażenie z współpracy z Waszyńskim?

— Bardzo dobre. Waszyński to bardzo zdolny reżyser o dużej inwencji. Pozatem siły były dobrane odpowiednio.

— Dlaczego jednak film ten jakoś przeszedł bez echa — nie cieszył się powodzeniem.

— To już wina samego filmu. Zbyt szybko był nakręcony.

— Ale przystąpmy do właściwego tematu, który zamierzam poruszyć w wywiadzie. Może powie mi Pan, czy artysta filmowy powinien się żenić?

— Hm! Trudno odpowiedzieć. Niby tak i niby nie. Proszę Pana jeśli chodzi o uczucie, jeśli dwoje ludzi się kocha, muszą znaleźć jakąś formę zbliżenia. Jeśli im nie odpowiada forma sakramentalna, znajdą sobie inną. Jeśli chodzi o artystów, uważam, że jeśli już osiądą na tych pieleszach domowych, tracą swą lekkość, swoje wzięcie. Aktor popularny nie może się zasklepić w sobie, musi się udzielać publiczności, no poprostu musi się podzielić między żonę i publiczność, a to zazwyczaj nie podoba się jego drugiej połowie. Jeśli oboje pracują w teatrze, wtedy ich wzajemny stosunek przestaje być ciekawy, wytwarza się inna atmosfera, która mojem zdaniem nie jest odpowiednia dla małżeństwa. Wtedy zapomina się, że żona jest żoną. Kobieta, która z mężczyzną razem pracuję, przestaje robić wrażenia odmiennej płci.

— Pana stosunek do kobiety?

— Ja uwielbiam kobietę. Kobieta trzyma mężczyznę przy życiu, niejako go dopinguje, daje mu inwencję, chęć do życia. Z kobietą mojem zdaniem powinno się spotykać jedynie na gruncie towarzyskim i...

— ?

— ...erotycznym.

— Może Pan zechce jeszcze wyjaśnić mi, dlaczego kobiety tak rwą się do filmu. Przecież marzeniem wielu pensjonarek, pracownic igły lub pań z towarzystwa jest karjera filmowa.

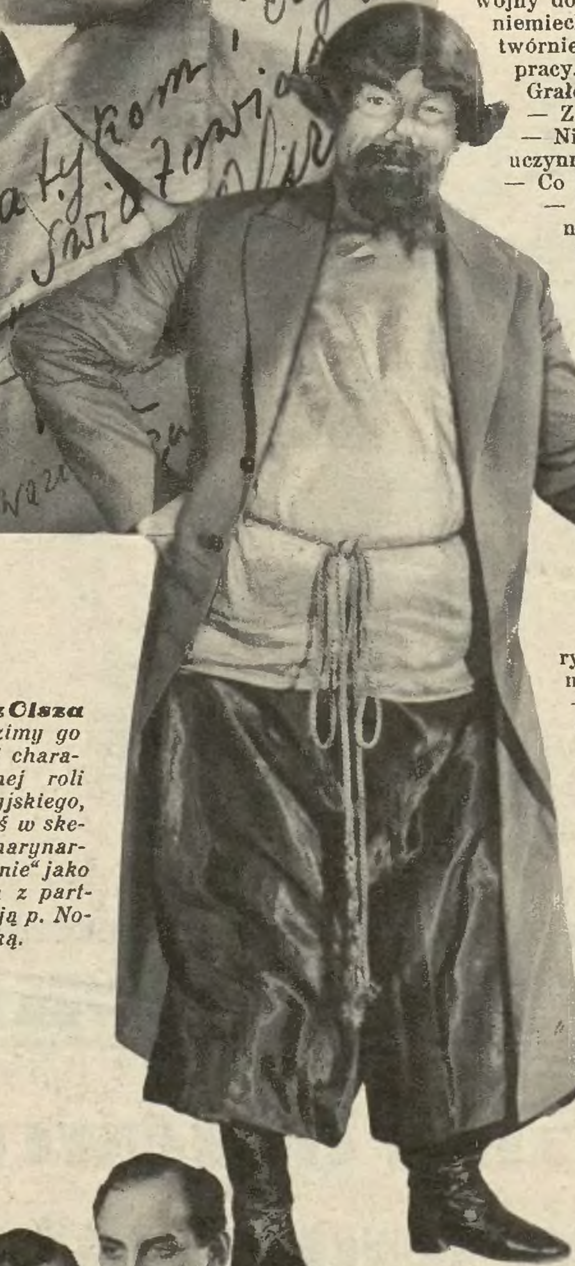
— To jest zupełnie jasne. Każdy człowiek chciałby się czemś wyróżnić. Każdy człowiek ma w swem jestestwie chęć popisania się, wyodrębnienia pośród tłumu! Kobiety robią to dla tej brzydkiej połowy, mężczyźni naodwrót. Inaczej tego nie można sobie wytłumaczyć.

—Jeszcze jedno pytanie. Czy ma Pan obecnie jakiś film na oku?

— Narazie jeszcze nie. Coś Waszyński wspominał, ale przypuszczam, że nie prędko zabierzemy się do kręcenia. Obecnie zresztą mam bardzo dużo pracy, nowa rewja w „Morskiem Oku".

— Nie będę więc zabierał Panu drogiego czasu. Proszę tylko o kilka zdjęć, a jedno ze specjalną dedykacją dla pańskich wielbicielek, a naszych czytelniczek, które niejednokrotnie już zapytywały, dlaczego nie dajemy zdjęć Olszy i czemu nie piszemy o nim?

Bohdan Skąpski.





Tadeusz Olsza *Obok widzimy go w świetnej charakterystycznej roli kupca rosyjskiego, poniżej zaś w skeczu „W marynarskiej tawernie" jako marynarza z partnerką swoją p. Nowicką.*

NA RANO — POPOŁUDNIE i WIECZÓR.



Skromny przedpołudniowy kostjum z lekkiej wełny, ze spódniczką baskinową, ożywiony jasną bluzeczką jedwabną, ozdobioną przy zapięciu gufrowaną ryszką.



Prześliczna letnia toaleta popołudniowa z jasno-seledynowego organdi. Duży capeline i zarękaweczek z tego samego materjału, przybrany pękami kwiatów koralowych.



Efektowna, czarno-biała toaleta wieczorowa. Staniczek z białego jedwabiu, bogato wyszywany perełkami i srebrnemi koralikami, spódnica czarna z oryginalnego materjału ażurowego, górą obcisła, dołem rozchodząca się w bogate klosze.

JUŻ wielki amerykański filozof Mulford powiedział: „Przebierajmy się kilka razy na dzień, gdyż to wprowadza nas w coraz to nowy a radosny nastrój, tak potrzebny dla zdrowia duszy".

Nie wiadomo, czy temi samemi zasadami kierowała się pani Moda, wprowadzając taką rozmaitość w dziedzinę toalet kobiecych, narzucając na każdą porę, już nawet nie roku, ale dnia, coraz coś innego. Wprawdzie, przyznając rację Mulfordowi, taka ustawiczna zmiana może wpłynąć dodatnio na nasz stan psychiczny, ale też częstokroć może doprowadzić do zawiłych konfliktów i nie jedna z pań nie wie częstokroć, jak wybrnąć z tego, co, gdzie, kiedy i jak popełnia „faux pas" w pojęciu mody wprost nie do darowania!

Bardzo często nie brak środków, czy też odpowiednich toalet powoduje te błędy, ale poprostu zwykłe niedbalstwo i brak zastanowienia się.

Jakże śmiesznie wygląda np. „elegantka", sunąca na ranny spacer w sukni gazowej po kostki i w szerokim kapeluszu z pękiem zwisających kwiatów, lub wstążek, podczas gdy w szafie pozostawiła skromny kostjumik z jedwabnego schatungu, doskonale nadający się na ranną przechadzkę. — Lub inna znów, tańcząca niby „przypadkiem" na dancingu w trykotowym jumperku i spódnicy kostjumowej, a mająca do dyspozycji cały szereg wieczorowych toalet, lub też pocąca się przy upale 30 stopni w wełnianym kostjumie na przechadzce popołudniowej przez źle zrozumianą zasadę Paryżanki, nie uznającej rzekomo innego rodzaju okrycia do wyjścia na ulicę.

A tymczasem zupełnie skromnymi środkami można zdobyć tajemnicę zawsze dobrze ubranej kobiety, tylko potrzeba na to trochę zastanowienia się, smaku i podporządkowania pod prawidła pani Mody. W przeciwnym bowiem razie nawet sam Mulford nie pomoże. *Zocha.*

BABIA GÓRA

Gdy w kwietniu, wiosna wkracza zwycięsko w kręte roztoki Beskidów, ostatnim przytułkiem zimy staje się wówczas — Babia Góra, w której żlebach bieleją resztki śniegów firnowych jeszcze do końca maja.

Któż nie słyszał o niej lub nie widział choćby zdaleka Fudżiyamy Beskidów Zachodnich! — Jak Howerla Karpatom Wschodnim, a Garłuch Tatrom, tak Ona przewodzi swym wzrostem i legendą starą — morzu grzbietów i szczytów lesistych, ciągnących się od morawskiego Smrku ku przełęczy Dukielskiej. — Oszlifowana niegdyś lodowcami, porosła na stokach kniejami, co jagiellońskie czasy pamiętają, zasłuchana w szelesty swych potoków rwących tysiącem kaskad w doliny — wznosi się Babia niczem olbrzymi słup graniczny Rzeczypospolitej nad urokliwą Orawą, opadając ku północy stromą i skalistą ścianą.

Szczyt jej (1725 m.), to kopulasta turnia, zwietrzała silnie i rozpadająca się nadal w potężne rumowisko piaskowca. Znajdują się na niej słabo już widoczne resztki murów małej kapliczki, która jeszcze istniała w połowie ubiegłego wieku i ściele się bardzo daleki widok we wszystkie strony świata, aż po Góry Świętokrzyskie, Beskidy Sandeckie, Tatry niżne i zachodnie krańce Beskidów. Rzec można bez przesady, iż jest to najlepszy i najrozleglejszy punkt widokowy — w całej Polsce.

Gdy niegdyś stopiły się na Białej potężne czasze lodowe i wiatry hulały tylko nad wielką pustynią — upodobał sobie pono wyniosłą górę — świat nadprzyrodzony. Na tajemniczej polanie Hałeczkowej odprawowały doroczny sabat w noc św. Łucji, wszystkie czarownice, na szczycie zaś szatan wystawił sobie zamek, z którego strzegł ukrytych po całej górze skarbów. W czas przeznaczony i jedyny otwierały się na mgnienie pieczary i „szachty“ głębokie i złoto lśniło się majacznie po ziemi, by zniknąć z uchodzącemi cieniami nocy. W południowym zaś stoku, siedział w głębokiej jamie smok „drakiem“ zwany, którego wywabiali płanetnicy, by przejeżdżać się na nim w odległe dziedziny i burze czynić po drodze. Wszystko to znikło, pozapadało się pono nazawsze w głębokie pieczary i świat ciemności, przeszło w poszarzałe starością legendy.

Nie próżnowali też na Babiej Górze, na przełomie średniowiecza — poszukiwacze skarbów. Szlak ich sekretny, wykuty szeregiem zawiłych symboli po głazach (odkryty w ostatnich latach i we większości dobrze zachowany), wiódł z północnej strony od dzisiejszej Zawoji, pod przełęcz Izdebczyska i rozgałęział się u górnej granicy lasów — ku Złotej Studni i t. zw. dziś Zbójnickiem Grodem. Pozostały po nich resztki zetlałych stemplowań w niektórych częściach nawpół już zapadłych, grot, różne zbiorowiska znaków (cały list wykuty na jednej ścianie) i kilka miejsc z zakopanemi rzekomo „dutkami zbójnickiemi“.

Dziś — w poszukiwaniu skarbów, nieskażonej jeszcze ręką cywilizacji, przyrody — dążą ku Babiej co wiosnę i lato tysiące turystów z wszech stron Rzeczypospolitej. Jak drzewiej, wita ich ona poszumem dziewiczych lasów i ziół alpejskich wonią, czasami burzą nawalną i chmur tumanem.

W niedalekiej, zaś przyszłości, cały wierchowy masyw góry zamienionyrn zostanie w pograniczny Park Natury polsko-słowacki.

Człowiek, składając w ten sposób hołd przeszłości i pierwotnej przyrodzie — uchroni od zagłady ostatnie uroczyszcze, dzikich niegdyś Beskidów Zachodnich.

Władysław Midowicz.



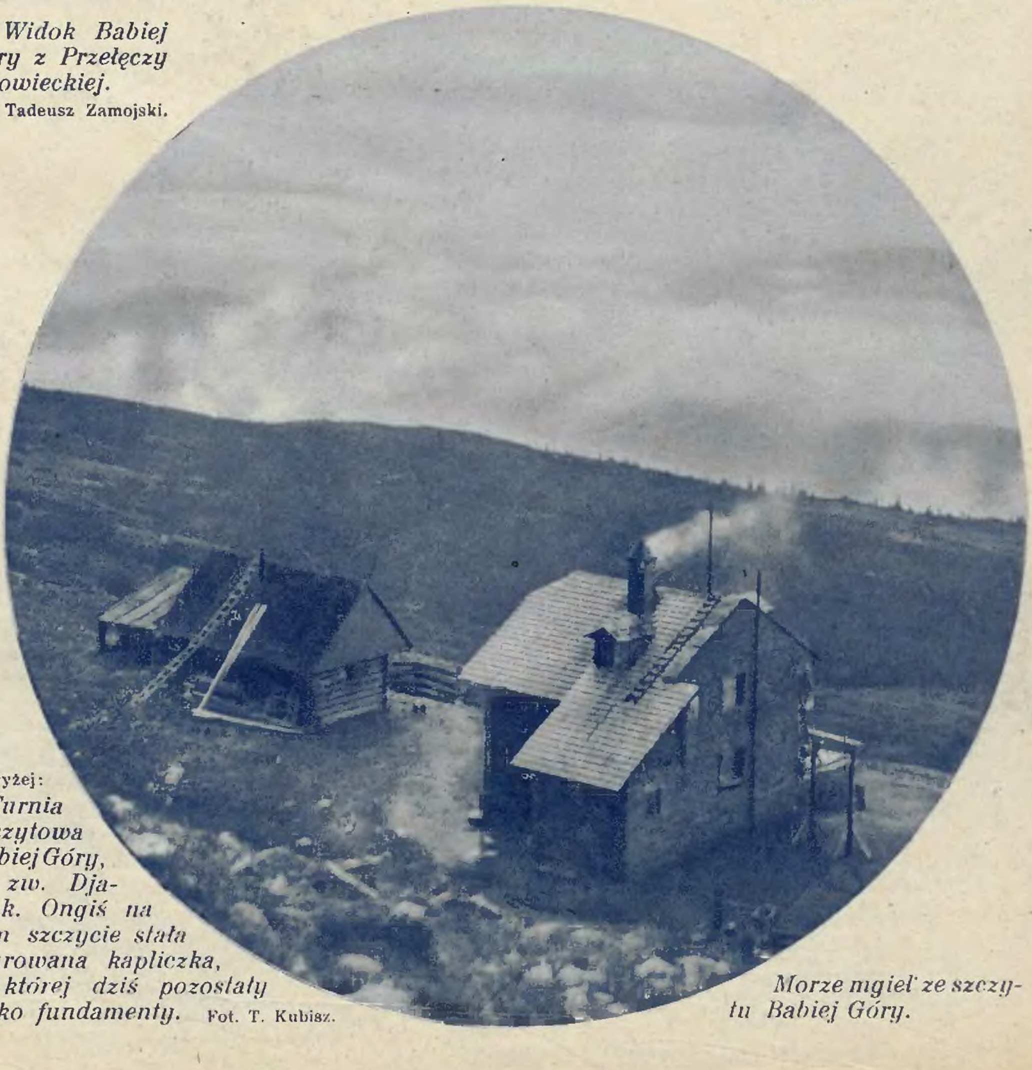
Widok z pod szczytu Babiej Góry (1725 m.) nad Orawą. Góra ta jest najwyższym wzniesieniem w Beskidach Zachodnich i leży na pograniczu Polski i Czechosłowacji w powiecie makowskim (woj. krakowskie). Fot. Tadeusz Zamojski.



Widok Babiej Góry z Przełęczy Jałowieckiej. Fot. Tadeusz Zamojski.



Powyżej: *Turnia szczytowa Babiej Góry, t. zw. Djablak. Ongiś na tym szczycie stała murowana kapliczka, z której dziś pozostały tylko fundamenty.* Fot. T. Kubisz.



Morze mgieł ze szczytu Babiej Góry.

Rebus

(Ul. Eug. Wieliczko, rys. J. Stratilato, Klub Szaradzistów, Warszawa).



Powyższy rebus podajemy powtórnie, gdyż w poprzed-nim numerze przez pomyłkę drukarni, klisza została odwrotnie zamieszczona.

Za rozwiązanie niniejszego rebusu redakcja „Swiatowida“ przeznacza

cztery nagrody.

Pierwsza zł. 50·—, trzy następne po zł. 25·—

Rozwiązania należy nadsyłać najpóźniej do dnia 30-go maja 1931 wraz z załączonym kuponem.

Rozwiązanie z Nr. 18

KOBIETA BEZ KOKIETERJI, TO RÓŻA BEZ WONI.

Trafne rozwiązanie zagadki z Nr. 18 nadesłali:

T. Brzuska, Lublin; T. Rutkowski, Warszawa; Eug. Cichowski, Gniezno; L. Dubiel, Radom; Z. Pomianowski, Radom; T. Sobecki, Poznań; Zb. Pasławski, Poznań; R. Dergiman, Wilno; M. Sławnicki, Łuniniec; Fr. Tyński, Będzin; Z. Soulange, Baczków; Aniela Kozłowska, Lublin; M. Wojciechowska, Kraków; H. Silczyński, Warszawa; Z. Dąbrowska, Warszawa; Kaz. Kochmański, Kraków; Br. Kosmania, Koło; J. Bielesz, Kraków; St. Szczygielska, rokocim; M. Niekraszówna, Wilno; J. Zielenkiewiczówna, Kraków; Lucjan Skowron, Będzin; Kaz. Nikielska-Morgenbesse, Łoszniów; A. Kostyrska, Brześć; Ir. Mończuńska, Starachowice; Z. Tietz, Warszawa, Janusz Roman, Warszawa; Stanisława Mikowska, Warszawa; Jadwiga Anczykowska, Częstochowa; Aleks. Białobrzeska, Kraków; E. Rozenberżanka, Brzeziny, J. Kowalewski, Równe wołyńskie; Konst. Czartoryski, Poznań; M. Rychłowska, Poznań; M. Fontana, Poznań; T. Łętkowska, Zawiercie; **Stefanja Ruebenbauerowa, Lwów (zł. 50.—)**; Z. Rychel, Borysław; J. Krauze, Żyrardów; W. Nowicki, Warszawa; „Maryśka z Pohulanki“; Irena Lewicka, Lwów; Sylwester Klupsz, Kościan; S. Kaczkowska, Ostrów; Stan. Zawadzki, Warszawa; Ludwik Wpdzański, Kraków; J. Terpiłowski, Warszawa; Wł. Pędzimąż, Zakopane; J. Degórski, Warszawa; Stan. Jakubowski, Poznań; L. Perlberger, Przemyśl; W. Kowalski, Warszawa; S. Lang, Drohobycz; Wład. Gąsienica, Zakopane; A. Lang, Drohobycz; I. Ałaszewski, Piotrków; Kazimierz Koszko, Zakopane; Z. Kubiński, Grudziądz; L. Finkel, Ostróg n/H.; B. Sulczyński, Gniezno; Tad. Szancer, Przemyśl; Z. Prządowa, Wilno; Wiera Nowicka, Wilno; J. Helebrandtowa, Częstochowa; J. Lenartowska, Poznań; J. Miodowiczowa, Gniezno; W. Tyblewski, Poznań; Lusia Pomeranz, Drohobycz; Miecz. Reich, Drohobycz; J. Waniek, Kraków; J. Świerczyńska, Lwów; I. Taczanowska, Mironów; L. Orszulak, Poznań; Jan Obtułowicz, Węgierska Górka; **M. Jaczek, Równe Wołyńskie (zł. 25.—)**; M. Mussil, Lwów; H. Formejsterówna, Lublin; Wład. Gajowa, Poznań; P. Krencowa, Poznań; S. Zglinicka, Lwów; Zocha Skowronówna, Ostrowiec; Eug. Symonówna, Kraków; H. Opielińska, Środa; H. Kornaszewska, Łask; Eust. Jarosz, Bystra; Al. Parachomiak, Bystra; E. Polińska, Bystra; inż. Modrzejewski, Lublin; Z. Magierzanka, Toruń; M. Ligęza, Kraków; H. Sobkiewiczówna, Poznań; J. Maziarzm, Ozorków; W. Ostrowska, Warszawa; J. Majewska, Tomaszów Maz.; W. Głuchowska, Dąbrowa Górnicza; J. Antonowiczowa, Równe Woł.; H. Troniewska, Równee Woł.; Cz. Kozłowski, Warszawa; K. i A. Semow, Kraków; M. Chachlowska, Kraków; Aleks. Wawryka, Lesko; H. Dobieliński, Poznań; Moliccy, Zbąszyń; Lud. Wróblewska, Inowrocław; Tad. Sobolewski, Lądek; Mich. Wysocka, Warszawa; Michał Kacenelenbogen, Łomża; Z. Ćwik, Warszawa; St. Maltze, Warszawa; W. Kuhnowa, Lwów; Dr. Stan. Kuńczyński, Brześć Kujawski; Eug. Wachowiczówna, Niwiski; H. Parachoniakowa, Bystra; Janek Reiss, Złoczów; **Norbert Ochs, Tarnopol (zł. 25.—)**; St. Rogalski, Warszawa; H. Mieczyńska, Chełmica; K. Wawrzynowicz, Brodnica; Edw. Cygan, Jasło; J. Owczarek, Wilno; A. Szmytowa, Poznań; Fr. Łączyńska, Poznań; Anna Łukaszewiczowa, Warszawa; Teofil Sławnicki, Białystok; Jack Heiber, Drohobycz; Tadeusz Naeuman, Drohobycz; S. Michalski, Łuniniec; Fr. Staszak, Będzin; Lili Pleskaczówna, Stryj; Michał Pietrusiński, Brześć n. B.; Tad. Pisarski, Lwów! Franc. Litwiński, Lublin; K. Łabużek, Kraków; St. Rakowski, Poznań; M. Szuberowa, Sambor; „Mary“, Kraków; L. Gucwa, Kielce; J. Wrona, Brzesko Nowe; **Zygmunt Pieracki, Wilno (zł. 25.—)**; Kaz. Butnerowa, Tarnopol; Helena Mokrzycka, Drohobycz; M. Gering — Krynica; Stan. Kucharska, Chełm; Em. Kutnikowska-Geringowa, Chełm; T. Kretkowski. Warszawa; Eug. Gaczoł, Warszawa; G. Szutowiczówna, Nowa Wilejka; J. Dobrowolska, Toruń; Kaz. Wilk, Pińczów; Jadw. Faixowa, Dęblin; J. Petrych, Wronki; inż. Złowadzki, Lwów; Ant. Mikulski, Baranowicze; J. Grycz, Pszczyna; Stan. Jurecki, Kraków; J. Sikora, Kraków; J. M. Brzozowska, Warszawa; Franc. Łukaszewicz, Wilno; Wład. Stolarska, Łódź; Z. Zatońska, Łódź; A. Prusicki, Częstochowa; Z. Łabędzki, Tarnowskie Góry; A. Godziszewski. Mołodeczno; A. Ciszewska, Łask; Aleks. Karch, Będzin; I. Grabowska, Kramarzewo; Leokadja Galewiczówna, Ozorków; kpt. Klemens, Kielce.

W losowaniu o nagrodę los padł na pp. Stefanję Ruebenbauerową Lwów (zł. 50.—), M. Janeczka, Równe Wołyńskie (zł. 25.—); Norberta Ochsa, Tarnopol (zł. 25—) i Zygmunta Pierackiego, Wilno (zł. 25.—).

Redakcja „Światowida“ wyżej wymienionym prześle gotówkę w najbliższych dniach.

PODCZAS MODELI TOALETOWYCH PRZEZ MANEKINY — CZYLI: JEDNEGO TO, DRUGIEGO CO INNEGO INTERESUJE.



— Czemu mój pan mąż ma taką znudzoną minę? Przecież pokazują coraz to inne modele.
— Ale ciągle te same dwie, czy trzy twarze.

JAK MISTRZ W SKOKU NA TYCZCE SKŁADA WIZYTĘ SWOJEJ NARZECZONEJ.



ORYGINALNE ZASTOSOWANIE ODKURZACZA.



KUPON do losowania nagrody za rozwiązanie zagadek w N-rze 21 z dnia 23-go maja 1931 roku.

„ŚWIATOWID“ WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ W KRAKOWIE, POZNANIU, WARSZAWIE, LWOWIE I WILNIE.
Prenumerata kwartalna zł. 12.50. Zagranicą zł. 15.—.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, Wielopole 1. TELEFONY: 150-60 (centrala), 150-61, 150-162, 150-63, 150-64, 150-65. Oddział w Warszawie: ul. Nowogrodzka 26. Telefony 70-21 i 234-65. Numer konta P. K. O. w Krakowie 404.200 — w Warszawie 140.725.

CENA OGŁOSZEŃ:
Strona dzieli się na trzy łamy (szerokość łamu 80 mm.). 1 mm w jednym łamie 1 złoty. Ogłoszenia zamieszczone jako jedyne na stronie (tak zwane „solus“) — 1 mm. w jednym łamie 2 złote. Ogłoszenia, zamówione jako jedyne na stronie („solus“), jeżeli ze względów technicznych nie będą mogły być zamieszczone według zlecenia, będą drukowane jako ogłoszenia zwykłe po cenie normalnej.

Wydawca i naczelny redaktor: MARJAN DĄBROWSKI
Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr. JÓZEF FLACH
Zakłady graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codziennego“ w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego.



Majowy poranek.

Obraz prof. St. Kamockiego